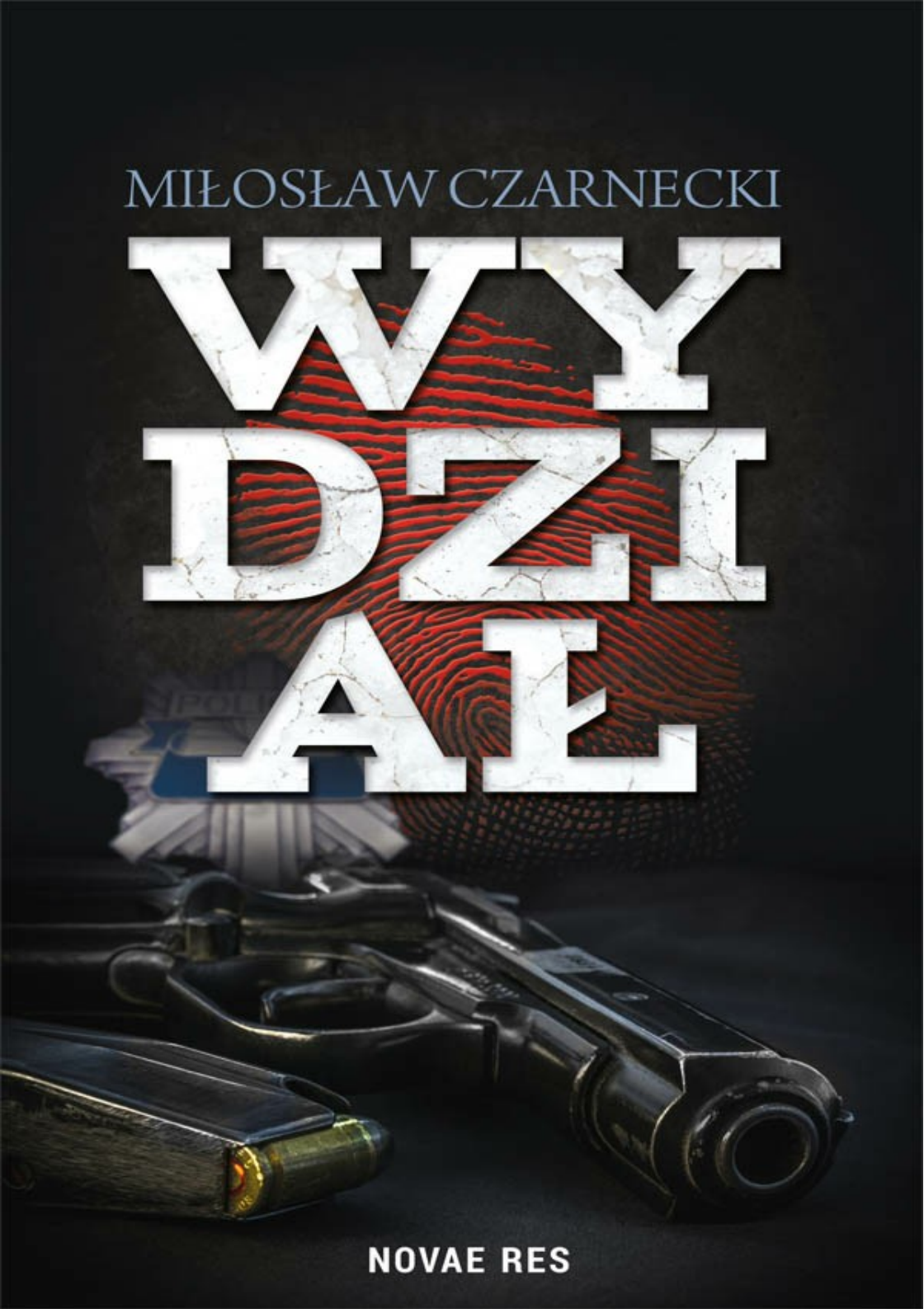


MIŁOSŁAW CZARNECKI

# WY DZI AŁ



NOVAE RES

MIŁOSŁAW CZARNECKI

# WY DZIAŁ



NOVAE RES

Wydział

Wydanie pierwsze,

ISBN: 978-83-8083-070-7

© Miłosław Czarnecki i Novae Res s.c. 2016

REDAKCJA:

Aleksandra Maludy

KOREKTA:

Alicja Januszkiewicz

OKŁADKA:

Paulina Radomska-Skierkowska

NOVAE RES – WYDAWNICTWO INNOWACYJNE

al. Zwycięstwa 96/98, 81-451 Gdynia

tel.: 58 698 2519

## PROLOG

Ludzie do nas przychodzą i odchodzą, ale większość zostaje na długie lata, tworząc trzon Wydziału i z czasem stapiając się z nim bez reszty. Stanowią zespół, w którym jedni się lubią bardziej, inni mniej, czasem tworzą się przyjaźnie, ale też nie brakuje animozji. Z biegiem lat niepostrzeżenie nabierają nowej tożsamości i Wydział staje się ich drugą rodziną. Cementuje ją adrenalina, wspólnie przeżywane tragedie i euforie, sukcesy i porażki – stresy, które latami do nas wracają, ale zarazem potwierdzają słuszność dokonanych wyborów. A przy tym jesteśmy przecież zwykłymi ludźmi, ze swoimi marzeniami, codziennymi kłopotami, radościami i zmartwieniami.

Długotrwała dyspozycyjność po godzinach pracy i instynktowne, podświadome oczekiwanie na dźwięk telefonu burzą nam domowy spokój, relaks i pogodny nastrój. Nie cierpimy go... a równocześnie jego brak wzbudza jakiś niepokój, że stało się coś ważnego, o czym jeszcze nie wiemy.

Nierzadko pracujemy do późnej nocy. Kończąc działania przed piątą rano, spotykamy się jak zwykle o wpół do ósmej w nowym dniu pracy. Nikomu nie przychodzi do głowy, aby wtedy domagać się wolnego. To tak jakby chciało wykluczyć się z zespołu. Nie teraz... dopóki czas nas goni.

Dziwne, ale po intensywnej wielogodzinnej pracy nie zawsze spieszymy się do domu. Czasem idziemy gdzieś wspólnie ochłoniąc, odreagować, jeszcze raz pogadać o tym, co się stało, spojrzeć na to z dystansu. Spieramy się, dyskutujemy. Wtedy wyraźniej widać, co się udało i jakie były błędy czy niedoróbki. Popełniamy je wszyscy, jako zespół, a nie jedna osoba, ale nasze triumfy też są wspólne.

Żaden z nas nie zostaje sam. Jesteśmy Wydziałem.

## ZNIKNIĘCIE

Żona obudziła Adama Z. już o wpół do piątej rano. Było jeszcze ciemno, chociaż marcowe dni stawały się coraz dłuższe i cieplejsze. Adam zbliżał już się do wieku emerytalnego i od dawna marzył mu się zakup samochodu dobrej marki, używanego wprawdzie, ale za to po okazjnej cenie, no, może z lekkimi uszkodzeniami po niewielkiej kolizji. Dlatego myślał o wyjeździe do Niemiec, aby tam znaleźć coś odpowiedniego. Niedawno przez ogłoszenie poznał młodego człowieka – dwudziestokilkuletniego Jarosława N., który świadczył usługi w tym zakresie i dysponował odpowiednią lawetą. Umówili się właśnie dzisiaj na wspólny wyjazd jeszcze przed świtem, aby mieć jak najwięcej czasu na penetracje autohausów.

Dopijał herbatę, gdy tamten zadzwonił do drzwi. Żona szybko spakowała kanapki i mogli ruszać. Okazało się jednak, że laweta przechodziła niedawno naprawę i czekała dopiero na parkingu niedaleko granicy. Miał ich tam zawieźć Marcin Z., nastoletni znajomy Jarosława, który wraz z rówieśnikiem Patrykiem S. jechał akurat w tym kierunku. Obaj mieszkali w miasteczku, przy którym zaparkowano lawetę. Przed wyjazdem Adam włożył do wewnętrznej kieszeni kurtki portfel z pieniędzmi przeznaczonymi na zakup. Było tego około ośmiu tysięcy euro. Serdecznie pożegnał się z żoną, obiecując szybki powrót, najpóźniej następnego dnia. Po chwili obaj zniknęli w ciemnościach.

Kilka dni później żona Adama poinformowała nas o zaginięciu męża. Po wyjeździe ani razu nie skontaktował się z nią i nie było wiadomo, gdzie przebywa. Próby nawiązania kontaktu telefonicznego nie przynosiły rezultatu. Abonent telefonu był wciąż „niedostępny”.

Sprawdzamy. Policja niemiecka nie ma żadnych informacji o takiej osobie – nie było wypadku, przestępstwa czy jakiegokolwiek

zarejestrowanego zdarzenia z jej udziałem. Nie przyjęto jej do żadnego szpitala. Mężczyzna zniknął. Zaczęły pojawiać się zatem różne wersje: o pozostaniu w Niemczech na dłużej, o zaplanowanym rozstaniu z małżonką, o wyjeździe dalej, do Francji albo krajów Beneluksu. Ale jakoś to nie pasowało do tego przypadku. Adam, odchodząc od żony, mógł to zrobić inaczej, nie musiał budzić się o wpół do piątej rano i angażować firmy transportowej. A i te zabrane pieniądze może na początek wystarczą, a potem co... Zaczynać życie od nowa w obcym środowisku, w tym wieku? Z jakimi szansami na przyszłość? Tym bardziej że wstępne rozpoznanie nie potwierdzało żadnego konfliktu w jego małżeństwie.

Równolegle próbujemy dotrzeć do Jarosława N., bo on musi coś wiedzieć o losie Adama. Jest źle... Jego też nie ma. Od tamtego wyjazdu nie pojawił się w domu.

Zdarzały mu się nieraz kilkudniowe nieobecności, ale dzwonił, a teraz jego telefon też nie odpowiada. To już jest bardzo dziwne. Kolejne sprawdzenia w Niemczech także bez rezultatu. Wszczynamy więc sprawę o uprowadzenie, bo na razie nie ma innych podstaw.

Sprawdzamy dalej. W miasteczku opodal granicy znajdujemy chłopaków, którzy odwozili zaginionych na parking. To jeszcze uczniowie szkół średnich. Ich zeznania są proste i spójne. Faktycznie przywieźli wtedy obu mężczyzn na niestrzeżony parking za miastem. Tamci wysiedli, podziękowali i więcej ich nie widzieli. Nie mają też żadnych wiadomości od Jarosława, który był przecież ich znajomym. Sprawdzamy na parkingu – lawety nie ma. Ale czy faktycznie tam była? Czyli jednak pojechali do Niemiec... Tylko dokąd dotarli?

Ale jeśli nawet, to dlaczego obaj nie odezwali się dotąd do nikogo? Czemu ich telefony wciąż były nieczynne? Dlaczego nie ma żadnych informacji od policji z innych krajów? Wciąż z ich rodzinami czekaliśmy na ten sygnał. Znak życia. Czekaliśmy także dlatego, bo nasze możliwości osiągnięcia postępu w kolejnych ustaleniach właściwie się kończyły. Jednocześnie ta cisza, dzień po dniu, upewniała nas w najgorszych obawach. Byliśmy w kontakcie z żoną Adama i ojcem Jarosława. Prosililiśmy, żeby dali znać, gdy ktoś

zadzwoni. Nic z tego. Oni zresztą też tracili wiarę, że to nastąpi. Niepokój narastał, a my byliśmy bezradni. Co gorsza, zaczęliśmy się już z tą bezradnością oswajać. I przebąkiwać, że tamci pewnie gdzieś się zaszyli i nie chcą, aby rodziny ich znalazły. A one jakże chętnie tego słuchały... bo przecież była w tym jakaś nadzieja, której potrzebowaliśmy wszyscy. I my, i oni.

Mijały kolejne miesiące i niepokój niepostrzeżenie zamieniał się w pewność. Prokurator się niecierpliwił, bo zbliżał się kolejny termin zakończenia postępowania, a my nie mieliśmy żadnych argumentów przemawiających za jego przedłużeniem. Żadnych dowodów, że w ogóle coś się stało. Przecież nawet w przypadku uprowadzenia zażądano by okupu.

Jeśli stało się najgorsze, to był tylko jeden motyw – pieniądze Adama przeznaczone na zakup samochodu. Mógł je sobie przywłaszczyć Jarosław i gdzieś ukryć się przed odpowiedzialnością, tak aby nikt nie wiedział, co się stało. Zmieni tożsamość i realnie zniknie. A może nie, może ktoś w Niemczech potakomił się na nie i aby nie mieć świadków, zabił obydwu, a ciała ukrył? Wtedy byłoby łatwiej zrozumieć te dwa zniknięcia. Praktycznie jednak nic nie wiemy. Przecież to tylko nasze domysły. A dopóki nie wiemy, co się stało, to gdzie, kogo i za co mamy ścigać? Sprawę trzeba było kończyć!

Spotkaliśmy się przy kawie, aby raz jeszcze przedyskutować cały ten impas. Myślą przewodnią był wybór: działamy albo kończymy. Wszyscy się zgadzali, że nie możemy być bierni, poddać się bez walki. Ale mieliśmy też świadomość, że w takim razie musimy „pójść po bandzie”, na wyczucie, w razie porażki ryzykując odpowiedzialnością co najmniej służbową.

Tak się nie powinno robić, nawet nie wolno, ale... czy jeśli mamy do czynienia z zabójstwem, to możemy powiedzieć „pas”? Czy będziemy mogli spojrzeć w oczy ich rodzinom, wiedząc, że nie zrobiono wszystkiego, by poznać prawdę o losie ich bliskich. I nie chodzi tu nawet o to, co oni nam powiedzą, ale o to, co my powiemy o sobie nam samym. To jest trudniejsze. Zapada decyzja: działamy!

Zaczynamy pracować nad jedyną wersją, którą można próbować sprawdzić, praktycznie nie wiedząc, co się naprawdę stało. To może być jednak tylko zlepek naszych wyobrażeń i na tym właśnie polega ryzyko. Zakładamy, że Marcin i Patryk – dwaj chłopcy odwożący Adama i Jarosława, dokonali po drodze ich zabójstwa w celu przywłaszczenia pieniędzy przeznaczonych na zakup samochodu. Nic jednak nie wiemy, gdzie się to stało i jak ukryto ciała zaginionych. Nie mamy też żadnego punktu zaczepienia. Jeżeli będą konsekwentnie i zgodnie powtarzać swoje dotychczasowe zeznania, to jesteśmy bezradni. Jedyna szansa to rozdzielić ich i na bieżąco wyłapywać niezgodności w szczegółach. Jeśli są winni, to pomimo wcześniejszych uzgodnień mogą się pogubić. Ale musimy też cały czas pamiętać, że mogą być zupełnie niewinni, przeżyją traumę, a my będziemy się poważnie tłumaczyć z braku realnych podstaw do ich zatrzymania. Na razie odpychamy jednak od siebie takie wątpliwości, aby nie zagubić woli walki. Z ulgą jednak przyjmujemy akceptację naszego planu przez prokuratora, który daje się przekonać. Też ryzykuje i decyduje się wydać nakazy przeszukań. Możemy ruszać!

Pierwsza sprawa to rozpoznanie tego, co się obecnie dzieje z Marcinem i Patrykiem. Czy nadal się uczą, czy może już pracują? Czy w ostatnim czasie byli może zamieszani w jakieś przestępstwa, jaki jest ich status materialny, sytuacja rodzinna i tak dalej. Wszystko po to, aby ich lepiej poznać, mieć więcej argumentów w trakcie rozmów, a przede wszystkim wiedzieć, jak i czym ich zaskoczyć. Okazuje się, że tymczasem los ich rozłączył, bo Patryk uczy się w szkole w stolicy sąsiedniego województwa i mieszka tam w internacie. Marcin natomiast kończy naukę w swoim miasteczku. To dla nas dobra wiadomość. Osobno będą mniej zgrani, jeden niepewny tego, co powiedział drugi. Będzie nam łatwiej wyłapać sprzeczności w ich wyjaśnieniach, wykorzystać szczegóły, wygrać emocje.

Ustalonego dnia wczesnym rankiem ruszają po nich dwie grupy. Zatrzymania przebiegają sprawnie – pełne zaskoczenie! Natomiast



przeszukania w miejscach zamieszkania niestety bez efektu. Do końca nie było wiadomo, czego konkretnie szukać. Liczyliśmy raczej na jakiś fuks, jakąś rzecz, którą można by powiązać z zaginionymi. To by jednak było zbyt łatwe.

Obaj są niepewni, przestraszeni, gorączkowo kalkulują w myślach, co się stało... nagle teraz, po tylu miesiącach spokoju, gdy już prawie zapominali o tamtym czasie. Boją się mówić, cedząc tylko jakieś monosylaby. Nasze zdecydowanie, pewność siebie, oschłość w ich traktowaniu robią jednak swoje. Zaczynamy czuć, że dobrze trafiliśmy.

Ale to wciąż tylko przeczucie. Bo nie buntują się, nie protestują, nie są oburzeni, raczej sprawiają wrażenie, jakby się im nagle wszystko zważyło na głowę... Boją się! Chyba więc nie wiedzą, co na nich mamy i jak się mają bronić, aby nie pogorszyć swojej sytuacji. Najważniejsze zatem, że wreszcie zwątpili w swoje szanse. I to jest ten kluczowy moment! Teraz! Już!!!

Padają twarde pytania: jak zabiłeś, gdzie masz pieniądze. Nieśmiałe próby zaprzeczania są ignorowane. Pierwszy, jeszcze podczas długiej jazdy samochodem, pęka Patryk, cicho mówiąc, że namówił go do tego Marcin. Chodziło o pieniądze starszego mężczyzny, którego mieli podwieźć. Nigdy nie widzieli nawet takiej kwoty. To pobudzało wyobraźnię. Marcin wymyślił, że zatłuką go ciężkimi metalowymi hantlami, które ukrył w bagażniku. Jarosław także miał zginąć, żeby nie było świadka, a poza tym Marcin miał do niego żal o jakieś zdarzenie z przeszłości i chciał się za to zemścić. Jadąc z nimi, gdy jeszcze było ciemno, skręcili w leśną drogę pod pretekstem rzekomych problemów ze sprzętem. Tam razem z Marcinem wysiedli z pojazdu, otworzyli maskę silnika i zaczęli udawać, że coś oglądają, a następnie szukać latarki w bagażniku. Po chwili zawołali Jarka, aby im pomógł. Gdy podszedł, zaatakowali go, uderzając w głowę hantlami. Po kilku ciosach upadł. Widząc, co się dzieje, starszy mężczyzna wyskoczył z samochodu i zaczął uciekać do lasu. Dopadli go po kilku metrach i po chwili przestał się ruszać. Wyciągnęli mu z portfela pieniądze, a ciało przykryli gałęziami.

Wiedzieli, że gdy ktoś znajdzie zwłoki, to będą głównymi podejrzanymi. Dlatego postanowili je ukryć.

Ciało Jarosława nie mieściło się w bagażniku, więc wsunęli je na tylne siedzenie, przykrywając szmatami, po czym ruszyli do rodzinnego miasteczka. Tam z domu Marcina zabrali łopatę i pojechali do pobliskiego lasu. Wykopali dół, wrzucili ciało i ponownie pojechali na miejsce zbrodni, aby zabrać ciało Adama. Za każdym razem ich droga wiodła przez miasteczko, ale przecież nie było powodu, aby ktoś miał ich zatrzymywać przed świtem. Wkrótce drugie zwłoki znalazły się w tym samym dole i przystąpili do ich ostatecznego zakopywania i maskowania miejsca gałęziami oraz ściółką leśną. Wracając stamtąd, uzgodnili, co będą mówić policji, gdy ta zapyta ich o podwiezienie ofiar.

W ciągu kilku dni przekonali się, że wszystko przebiegło zgodnie z przyjętym scenariuszem. Wiedzieli, że nic ich nie obciąża, ale pieniądze wydawali ostrożnie, aby nie zwracać uwagi otoczenia. Tylko w jednym przypadku Patryk nie wytrzymał i kupił sobie wymarzoną wieżę hi-fi, ale pokrył to legendą, że jest używana i nabył ją bardzo okazji od nieznanego chłopaka, który gwałtownie potrzebował pieniędzy. Potem upływał czas i nikt już ich nie niepokoił. Uznali, że nic im już nie grozi... Udało się.

\*

– Pokażesz nam to miejsce – żądamy od razu.

Zgadza się i wskazuje drogę. Po jakimś czasie wjeżdżamy w leśny dukt. Patryk rozgląda się.

– To gdzieś tutaj.

Stajemy i kontaktujemy się z miejscową jednostką policji, prosząc, aby podjechali ze sprzętem do kopania. Tymczasem z Patrykiem oglądamy teren, przeżywamy chwile zwątpienia, bo w świetle dziennym las wygląda inaczej niż w nocy i chłopak ma spore problemy z rozpoznaniem konkretnego miejsca. Ale w końcu wskazuje nam rejon, w którym należy szukać. Wreszcie przyjeżdżają koledzy z łopatami i sprzętem. Praca jest ciężka, bo ziemia łatwo nie

ustępuje. Ciągłe nic. Znowu zwątpienie. Teren poszukiwań się rozszerza. Nakłuwamy ziemię prętami, które następnie po wyjęciu dajemy do nawęszania psu tropiącemu. W pewnym momencie jego reakcja wskazuje, że trafiliśmy we właściwe miejsce. Teraz już sprawnie dokopujemy się do ukrytych zwłok. Poniszczony elementy odzieży wstępnie potwierdzają tożsamość. To oni. Uświadamiamy sobie, jak trudno będzie o tym powiedzieć rodzinom. Nasz sukces, dla nich rozpacz. Zabierzemy im resztki nadziei.

Marcin początkowo się zapierał, ale gdy zobaczył zdjęcia zwłok, już nie oponował. Jego opis przebiegu zbrodni potwierdził wyjaśnienia Patryka. Ale mówił o tym bez emocji, jakby to dotyczyło kogoś innego, jakby opowiadał obejrzanego kiedyś film – z żalem, że nie miał happy endu.

## AZYL

Matka, ojciec – rodzice dwóch synów w wieku dwudziestu sześciu i dwunastu lat. Oczkiem w ich głowie był teraz ten młodszy, bo starszy miał już swoje dorosłe, osobne życie. Dwupokojowe mieszkanie na wielkomiejskim osiedlu. Ojciec wraca do domu i nie orientuje się, że w drugim pokoju leży zamordowany i przykryty kołdrą ich młodszy syn. Przychodzi matka, wchodzi do tamtego pokoju i spostrzega, co się stało. Jeszcze próbują ratować. Bezskutecznie.

Przyjeżdżamy. Trwa dramat rodziców, ale musimy przeprowadzić niezbędne czynności śledcze. Żeby czegoś nie przeoczyć, najmniejszego śladu, dowodu... W pewnym momencie trzeba jednak już to dziecko zabrać. Zabrać im je na zawsze. Jak trudno to powiedzieć... Tego przecież nigdzie nie uczą, a każda taka sytuacja jest inna. Trzeba przejść z tego momentu koncentracji na śladach do próby wytłumaczenia rodzicom tego, czego wytłumaczyć im się nie da. Że zabieramy im dziecko!

Pamiętam rozpacz matki. Zakryła sobą syna i nie można jej było od niego oderwać. Nie próbowaliśmy... Czekaliśmy, aż się z tym pogodzi. Uzna, że inaczej już być nie może. Czuliśmy się jak intruzi wdzierający się w jej najbardziej osobiste przeżycia. Tego odczucia nie da się przekazać w żadnym filmie czy książce. Byliśmy skrupowani świadomością, że nie możemy w żaden sposób jej pomóc. Czuję, że gdzieś wewnątrz płacę razem z nią.

Później kilkakrotnie byłem w tym mieszkaniu i rozmawiałem z nią. Widziałem, jak bardzo chciała nam pomóc jakimś swoim pomysłem. Prosiła, aby po sekcji mogła pożegnać się z synem. To nigdzie nie jest regulowane żadnym przepisem, żadną procedurą. Wszystko zależy od człowieka – albo jest się człowiekiem, albo gnojem... W kaplicy Zakładu Medycyny Sądowej przygotowano trumnę, chłopiec był

umyty i ubrany przez laborantów. Matkę przywieźliśmy, aby mogła w spokoju pożegnać się z dzieckiem. Kiedy podeszła do tej otwartej trumny, zostawiliśmy ją samą, bo jak można uczestniczyć przy czymś tak bolesnym i osobistym...

Myślę, że dało jej to możliwość przeżycia tego w sposób najgłębszy, z dala od cudzych spojrzeń i presji otoczenia.

Telefonowała potem wielokrotnie. Brała też udział w rozpoznaniu przedmiotów znalezionych przy sprawcy zabójstwa – tych zabranych z ich mieszkania. Powstała jednak kwestia wizji lokalnej. Kategorycznie odmówiła. Ułożyli już sobie życie, codziennie odwiedzała grób syna i nie wyobrażała sobie, żeby morderca jeszcze raz wszedł do ich mieszkania. Prokurator nie mógł zrozumieć tej decyzji. Tłumaczyłem mu, że trzeba respektować jej uczucia. Ostatecznie wizję skończyliśmy przed wejściem do bloku. Sprawca opowiedział, jak podszedł do chłopca, po czym opisał układ ich mieszkania i to, co się w nim stało. W sumie miało to nawet większe znaczenie dowodowe, niż gdyby wszedł do środka.

Byłem wtedy absolutnie przekonany, że należy uszanować wolę rodziców.

## ZUPA

Na gorącym uczynku – kradzieży portfela – złapano nastoletniego złodziejaszka. Stało się to na terenie budowy peryferyjnego osiedla domów jednorodzinnych. Właściciel stojącego w stanie surowym budynku czekał właśnie na przywóz kaloryferów, gdy w jednym z otworów okiennych mignęła mu jakaś sylwetka. Zaczaił się więc przy wejściu i schwytał wybiegającego stamtąd nastoletniego chłopaka z jego portfelem w rękę. Była w nim spora kwota, więc nie reagował na jego prośby i od razu wezwał policję.

Już podczas pierwszego przesłuchania zatrzymany czternastoletni Wojtek N. przyznał, że to nie była pierwsza jego kradzież. Działali we trójkę z piętnastoletnim Szymonem G. i rok starszym Romanem W. Kradzieży dokonywało jednak zawsze tylko dwóch z nich w różnych konfiguracjach osobowych. Podział ról był taki: jeden kradł, a drugi go ubezpieczał. Prawie zawsze uczestniczył w nich właśnie Wojtek. On też najczęściej kradł.

Szymona i Romana zatrzymano jeszcze tego samego dnia. Spodziewali się tego, choć zapewne do końca liczyli, że niczego się od Wojtka nie dowiemy. Nie zaprzeczali swojemu udziałowi w tym procederze. Byli zrezygnowani i bez oporów odpowiadali na wszystkie pytania. Z pierwszych wyjaśnień wynikało, że działali tak już od dwóch, trzech lat. Ujawnienie i udowodnienie całej ich działalności wymagało dużych nakładów żmudnej pracy, w związku z czym Wydział przejął tę sprawę do prowadzenia.

Zgłoszeń o podobnych kradzieżach w tym rejonie było jednak niewiele – znalazłem ich zaledwie kilka. To nie pasowało do tego, o czym zaczął mówić Wojtek. Dlatego też postanowiłem wydobyć od nich całą wiedzę na ten temat. Szybko okazało się, że prowadzycielem i pomysłodawcą działań grupy był właśnie on. Podczas przesłuchań nie ukrywał zresztą wcale swojej roli. Przeciwnie, chętnie się nią.

Odnosiłem wrażenie, że wręcz lubi opowiadać o swoich bezczelnie brawurowych akcjach. Zgrywał przy tym cwaniaka, pytając – to o czym będziemy teraz rozmawiać? Albo – a co ja z tego będę miał?

A pamięć miał niezwykłą. Potrafił dokładnie opisywać, co, gdzie i kiedy skradł, jakie były tego okoliczności i w jaki sposób działali. Jego współnicy nie pamiętali już tak dobrze szczegółów, ale potwierdzali podane przez niego sytuacje. Z reguły działali na terenach, gdzie budowano domy jednorodzinne. Były to zwykle miejsca łatwo dostępne. Obserwowali, kto jest na budowie i co robi. Ludzie tam przyjeżdżali, zmieniali odzież, odkładając garderobę gdzieś w szopach, przybudówkach, niewykończonych otwartych pomieszczeniach, i zabierali się do pracy. A oni wtedy skrycie, niezauważeni, podchodzili, dostawali się do wnętrza i zabierali pieniądze, portfele, obrączki, zegarki, biżuterię i wszystkie inne wartościowe przedmioty. W końcu tak się rozzuchwalili swoją bezkarnością, iż zaczęli wchodzić do zamieszkałych już domów, i to nawet podczas obecności mieszkańców.

Wykorzystywali niezamknięte drzwi wejściowe albo boczne wejścia od strony werandy czy ogrodu. Dokonywali szybkiej penetracji wnętrza, zabierali co cenniejsze przedmioty i wychodzili tą samą drogą.

Po jakimś czasie okazało się, że liczba opisanych przez niego kradzieży wielokrotnie przekraczała liczbę zgłoszeń o podobnych czynach. Zacząłem więc zastanawiać się, czy nie padłem czasem ofiarą jego wybujałej fantazji. Może potrzebował jakiegoś słuchacza? Może sobie w ten sposób ze mnie kpił? Gdy jego opowiadaniom nie było jeszcze końca, uznałem, że już najwyższy czas na sprawdzenie, ile w tym prawdy, a ile tylko wyobraźni. Postanowiłem przeprowadzić przy jego udziale wizje lokalne wszędzie tam, skąd nie wpłynęły zgłoszenia o kradzieżach.

Ciekawiło mnie szczególnie jedno z jego opowiadań, jak to dostał się do domu i po wejściu do kuchni zjadł zupę ze stojącego na stole talerza. Dlatego od tego przypadku zaczęliśmy. Ot, taki papierek lakmusowy jego fantazji. Drzwi otworzyła nam niemłoda już kobieta.

Przedstawiliśmy się, jesteśmy z policji, chcemy porozmawiać. Zareagowała niechętnie, prawie wrogo.

– Po co tu policja, czego chcecie, nie mam o czym rozmawiać.

– Może o tym, jak ktoś pani zjadł zupę – podsunąłem, niepewny prawdziwości wersji Wojtka.

– A co to pana obchodzi, kto ją zjadł? – odburknęła. Ale widać było, że zaczyna się zastanawiać.

I wtedy Wojtek zaczął opowiadać o tym, jak wchodzi z Romanem do domu, słyszą, że ktoś krząta się na piętrze. Zagląda do kuchni. Na stole stoi talerz wypełniony parującą jeszcze zupą. Roman staje przy schodach na czatach, a on najpierw siada przy stole i zjada zupę, po czym otwiera drzwiczki wiszących szafek kuchennych i w jednej z nich dostrzega portmonetkę. Wyciąga z niej banknoty, po czym odkłada w to samo miejsce. Potem wychodzą, niezauważeni przez nikogo.

Dopiero wtedy, słuchając go, kobieta „pękła”, rozgadując się i potwierdzając, że faktycznie tak było. Zniknęła zupa, a po jakimś czasie odkryła brak pieniędzy. Nie kojarzyła, kiedy i gdzie mogła je utracić. Może zgubiła? Nie łączyła tego w całość. Nawet teraz trudno jej było w to uwierzyć.

Jedziemy dalej. Trafiamy do eleganckiej willi, w której zamieszkuje z żoną profesor Uniwersytetu Przyrodniczego. Specjalizuje się w kwiatkach. W ogrodzie ma szklarnię, w której eksperymentuje z rzadkimi odmianami. Zastajemy jego żonę. Pytam ją, czy skradziono im dużą kwotę pieniędzy. Niechętnie potwierdza. Kilka miesięcy wcześniej mąż wybierał się w podróż służbową do Holandii. Zbliżał się termin wyjazdu, gdy nieoczekiwanie odwiedził go syn. Relacje pomiędzy nimi nie były najlepsze od czasu, gdy jeszcze podczas studiów syn ożenił się z nieakceptowaną przez ojca dziewczyną. W konsekwencji wyprowadził się z rodzinnego domu i mieszkał z nią w wynajętym lokalu.

Jego sytuacja materialna była jednak kiepska i tamtego dnia przyszedł prosić o pożyczkę na zakup telewizora. Ojciec szorstko odmówił i zażądał, aby nie przychodził do niego w takich sprawach.



Zaczęli się kłócić i syn wyszedł wściekły. Wieczorem profesor przypadkowo zobaczył, że z jego wiszącej na fotelu marynarki zniknęła większa suma pieniędzy oraz bilety i dokumenty przygotowane na wyjazd. Od razu uznał, że zabrał je wychodzący syn, aby zrobić mu na złość. Doszło pomiędzy nimi do wielkiej awantury i ostatecznie zerwali jakiegokolwiek kontakty. Ale faktu kradzieży nie zgłoszono.

Teraz swoją wersję opowiadają Wojtek z Szymonem. Weszli przez furtkę z tyłu ogrodu, potem do szklarni, a stamtąd do werandy. Usłyszeli, że w saloniku gra telewizor. Wojtek tam zajrzał. Zobaczył mężczyznę siedzącego na fotelu przed odbiornikiem. Korzystając z hałasu, na czworakach podszedł do fotela, odgarnął bok wiszącej tam marynarki, wyjął portfel, a z niego sporą liczbę banknotów euro. W kieszeni zauważył jeszcze jakieś dokumenty, które też zabrał ze sobą. Potem powoli, spokojnie wycofał się na czworakach i wraz z Szymonem wyszli tą samą drogą.

Żona profesora słucha tego i widać po niej ulgę. Nie chce jednak zeznawać jako świadek. Prosi, aby wezwano męża.

– On mi nie uwierzy – uzasadnia.

Następnego dnia rozmawiam z profesorem w komendzie. Opowiadam, jak doszło do kradzieży. Widzę, jak twarz mu stopniowo ciemnieje, a na czole pojawiają się krople potu. Jest bliski płaczu.

– Co ja teraz zrobię – szepcze.

Gdy później wychodzi, żegnając się, mówię:

– Jak pan stąd wyjdzie, po drodze na sąsiedniej ulicy jest duży sklep z telewizorami, może pan któryś wybierze dla syna...

Innego dnia jedziemy do domu jednorodzinnego na osiedlu zamieszkałym przez oficerów lotnictwa wojskowego. Wojtek wskazuje, jak weszli. Drzwi były niezamknięte i zaczęli cichą penetrację na parterze. Nic tam ciekawego nie było, więc ostrożnie weszli po schodach do położonej tam kuchni. Słyszał, że ktoś krząta się w sąsiednim pokoju. Spokojnie przejrzał szafki kuchenne i w jednej znalazł portmonetkę z dużą sumą pieniędzy. Zabrał ją i po

cichutku wyszli.

Rozmawiam z panią domu, która nie ukrywa zaskoczenia. Wspomina, iż któregoś dnia sięgnęła po portmonetkę, ale jej nie znalazła. Myślała, że może położyła ją gdzie indziej, ale nigdzie jej nie było. Zdenerwowała się, bo miała tam pieniądze przeznaczone na cały miesiąc utrzymania. Nie mogła tego ukryć przed mężem. Tymczasem on nie miał żadnych wątpliwości, kto je zabrał. Poprzedniego dnia, będąc przejazdem, odwiedził ich jej brat. Mąż nie cierpiał szwagra ani teściów i od razu jego pobyt skojarzył z utratą pieniędzy. Ona zapewniała, że to niemożliwe, ale nie dał się przekonać. Nie zgłosili tego nikomu, lecz relacje rodzinne ochłodziły się jeszcze bardziej.

Wzywam więc do komendy męża. Opowiadam. Jest zszokowany.

– Byłem pewien, że to szwagier – powtarza wciąż, jakby chciał się usprawiedliwić. – Będę musiał się z nim spotkać, może mi wybaczy.

Podobnych sytuacji było więcej. Wielu nie zgłaszało kradzieży, nie wiedząc, czy po prostu czegoś nie zgubili, inni nie wierzyli w znalezienie sprawcy i odzyskanie strat. Wojtek mówił jednak prawdę. Ostatecznie nastolatkom udowodniłem dokonanie stu trzydziestu dwóch kradzieży.

Po kilku latach, będąc w prokuraturze, zauważyłem Wojtka idącego w towarzystwie umundurowanego policjanta.

– Dzień dobry, panie komisarzu – krzyknął.

– Co ty tutaj robisz? – spytałem.

– No, widzi pan – podniósł skute kajdankami ręce – nie udało się.

## FUNDATOR

Prowadziłem kiedyś sprawę dotyczącą wielu poważnych włamań do mieszkań, sklepów i magazynów ze sprzętem elektronicznym. Aresztowano w niej czterdziestoosmioletniego włamywacza Janusza W. – recydywistę, który spędził w więzieniu dwadzieścia kilka lat swojego życia. Już jako trzynastolatek uciekał z domu i dokonywał wielu kradzieży. Teraz, chociaż już jest niemłody i ma rodzinę, żonę i czworo dzieci, wciąż nie potrafił zrezygnować z działalności przestępczej. Z zawodu był ślusarzem i pracował w firmie produkującej przyczepy samochodowe. Jego przełożony uważał, że jest on najuczciwszym pracownikiem ze wszystkich tam zatrudnionych. Janusz W. bardzo starał się w pracy nie zepsuć sobie opinii. Nigdy tam nic nie zginęło, a nadto zawsze pilnował, żeby nie kradli jego współpracownicy.

Podczas przeszukania w jego mieszkaniu znaleziono sporo przedmiotów pochodzących z przestępstw, między innymi kamery, aparaty fotograficzne i inny sprzęt elektroniczny. Niestety często nie udawało się ustalić, skąd one pochodziły, a Janusz konsekwentnie nie przyznawał się do czynów, których mu czarno na białym nie udowodniono. Twierdził więc, że część tych rzeczy dostał od kogoś na przechowanie, a te osoby znał oczywiście tylko po imieniu, albo że kupił od zupełnie nieznanymi ludzi w celu dalszej odsprzedaży z zyskiem. Stawiałem mu więc zarzuty paserstwa, choć nie miałem żadnych wątpliwości, że to on sam był sprawcą tych włamań.

Tego dnia obchodziliśmy Święto Policji. Nastrój w komendzie był więc nieco luźniejszy. Gdy nie było pilnych zadań, piliśmy kawę, rozmawialiśmy, niektórzy dostali nagrody, inni odznaczenia bądź awanse i stawiali ciastka. Z tego względu na ten dzień nie planowano zbyt wiele pracy. Z tej odświętnej atmosfery wyrwał mnie jednak telefon z aresztu śledczego z informacją, że Janusz W.

domaga się pilnego przesłuchania w swojej sprawie. W pierwszym odruchu postanowiłem odłożyć to na jutro.

– Co ty, w święto będziesz go słuchał, przecież ma tam dużo czasu – oburzali się koledzy.

Coś mnie jednak tknęło – to nie było zachowanie typowe dla Janusza. Zdecydowałem, aby jednak go przywieziono. Po godzinie jest. Wprowadzam go do pokoju, sadzam naprzeciwko swojego biurka i szykuję protokół przesłuchania.

A on w tym czasie zaczyna:

– Składam panu najlepsze życzenia z okazji Święta Policji.

Zdziwiony dziękuję.

A on dalej:

– Jak gość składa życzenia, to mu się kawę stawia.

Było to trochę dziwne zachowanie, ale postanawiam zareagować elegancko – dzwonię do wydziałowego sekretariatu i proszę o przyniesienie dwóch kaw. Po kilku minutach już stoją przed nami.

– Ale nie próbuj czasem łyżki połknąć – ostrzegam pół żartem, pół serio.

Janusz uśmiecha się i mówi:

– Niech pan wyciągnie protokół i pisze.

Protokół miałem już pod ręką, więc spojrzałem na niego pytająco. A on bez zająknięcia dyktuje mi swoje przyznanie się do serii włamań, podając precyzyjnie ich daty, miejsca, szczegóły dotyczące sposobu działania i zabranych stamtąd przedmiotów. Wreszcie kończy.

– Wszystkiego panu nie powiem, ale jak tam pojedziemy, mogę pokazać to na wizji lokalnej.

„Prezent – myślę – po prostu podarował mi prezent na święto.”

Nie było na co czekać. Następnego dnia organizuję wyjazd na wizję, zapoznając się jeszcze raz w aktami dotyczącymi podanych przez niego włamań. Wyjeżdżamy. W pierwszej kolejności trafiamy do mieszkania w bloku. Drzwi otwiera właściciel. Janusz demonstruje po kolei, jak tam wszedł, co i skąd zabierał. W pewnym momencie dochodzi do szafy i mówi, iż wtedy w niej wisiła kurtka damska,

z której wyciągnął dwieście pięćdziesiąt dolarów i złoty pierścionek. Gospodarz mieszkania jest zaskoczony.

– To pokój mojej żony, ona nigdy nie miała dolarów i takiego pierścionka.

Janusz zerka na niego.

– To niech się jej pan dobrze przyjrzy – kwituje.

Potem odwiedzamy jeszcze kilka miejsc i wizja potwierdza jego wczorajsze wyjaśnienia. Wreszcie kończymy i, wracając, przejeżdżamy przez niewielkie, senne miasteczko. W pewnej chwili Janusz się odzywa:

– Ja chętnie bym tu coś zjadł i wypił.

Zadowolony z efektów całodziennych czynności, chociaż sam się sobie dziwi, zgadzam się. Zatrzymujemy się przed lokalem.

– Ale chciałbym też być fundującym – zaznacza Janusz. – Pożycz mi pan kilka złotych?

Jeszcze bardziej zaskoczony nie odmawiam. W końcu dzięki niemu tu jesteśmy.

– Ale chciałbym mieć sznurowadła w butach, bo jak ja będę przy was wyglądał – dodaje.

Hmm... żadnych dodatkowych nie mam, więc... niech będzie, zdejmuję swoje.

Siedzimy już przy stoliku – trzech policjantów po cywilnemu i on. Wyglądem szczególnie się od nas nie różni.

– Cztery kawy proszę i golonki – zamawia u kelnerki.

Po kilku minutach jedzenie jest na stole. Janusz, zachwycony, stara się jeść powoli. Widząc, jak mu smakuje, oddaję mu część swojego, nieruszonego jeszcze dania. Nie spieszymy się. W jakiś sposób cieszę się jego radością, wzbudza moje uznanie. Wreszcie kończy.

– A teraz się czegoś napijemy – proponuje.

– Nie przesadzaj – protestuję.

– Malutkie mogą wypić – stwierdza ... i już zamawia piwo oraz dla siebie dodatkowo liście bobkowe.

Po wypiciu wkłada je do ust i zaczyna żuć.

– Nikt nie wyczuje – mruczy... i żuje je aż do powrotu do aresztu.

\*

Po kilku miesiącach udałem się tam do niego w celu końcowego zapoznania go z aktami sprawy. Po zakończeniu tej czynności żegnam się z nim i mówię:

– Mając czterdzieści osiem lat, chyba skończysz już z tymi włamaniami.

Spojrzał na mnie.

– Myślę, że się nie zobaczymy, bo ja już na wolność nie wyjdę.

Widząc moje zdziwienie, dodał:

– Moje płuca się kończą, za długo przebywałem w więzieniu.

Jakiś czas później dowiedziałem się, że faktycznie zmarł po dwóch latach pobytu w zakładzie karnym.

## REWANŻ

Są sprawy, których przebieg wydarzeń od początku wydaje się oczywisty, sprawca bądź zleceniodawca zbrodni jest znany, a mimo to śledztwo nie postępuje ani kroku naprzód. Tak było w przypadku zaginięcia trzydziestosześcioletniego Marka N. Był on wyjątkowo zręcznym specjalistą od kombinacji finansowych. Wraz ze swoją życiową partnerką, o kilka lat młodszą Aliną W., zorganizował i uruchomił tzw. piramidę finansową. Zrobił na tym ogromne pieniądze. Tak duże, że większość z nich ulokował na kontach banku w Luksemburgu. Z zasobów tych korzystali wspólnie z konkubiną. Mając zapewniony dochód, postanowili wybudować dom usytuowany w peryferyjnej, willowej dzielnicy miasta. Mieli w nim wkrótce zamieszkać i snuli dalsze plany łożenia wspólnego życia. Traf chciał, że wszystko jednak potoczyło się inaczej.

Po rozpoczęciu budowy Marek nieoczekiwanie poznał atrakcyjną, dwudziestokilkuletnią dziewczynę, Joannę S. Była zupełnie inna od Aliny, zauroczyła go i szybko zapragnął związać się z nią na dłużej. W tym celu musiał jednak najpierw definitywnie zakończyć swój dotychczasowy uczuciowo-biznesowy układ z Aliną.

Był to dla niej prawdziwy szok – traciła bowiem nagle nie tylko życiowego partnera, ale także związany z nim wysoki status materialny. Aby to załagodzić, Marek zobowiązał się do sfinansowania dokończenia budowy wspólnego domu, który ostatecznie miał się stać jej własnością. Obiecał też przekazanie jej pewnej kwoty tytułem rekompensaty utraconych dochodów. Przyjęła to, ale wewnątrz nigdy się nie pogodziła z porzuceniem przez byłego kochanka. Tym bardziej że Marek zastrzegł, iż nie będzie już miała pełnego dostępu do pieniędzy zgromadzonych w Luksemburgu. Mogła korzystać tylko z niektórych kont. Stało się oczywiste, że niestety prędzej czy później, aby się utrzymać, będzie

musiała podjąć pracę zarobkową. Po tym wszystkim Alina stopniowo zaczęła jednak stwarzać iluzję pogodzenia się z tą sytuacją i wydawało się, że pozostali w przyjacielskich relacjach.

Marek z Joanną wynajęli sobie natomiast inny dom w tej samej dzielnicy, i to nawet w stosunkowo niewielkiej, kilkusetmetrowej odległości od tego, w którym pozostawił Alinę. Nadal też utrzymywali z nią sporadyczne kontakty towarzyskie. Nadeszło lato i Marek z Joanną wyjechali na kilka dni do Świnoujścia.

O planowanym wcześniej wyjeździe dowiedziała się Alina i wkrótce ona również pojawiła się tam ze swoim nowym, dużo młodszym od Marka partnerem – Emilem J. Niby przypadkiem doszło do spotkania i rozmowy obu par, które między innymi opowiadały o swoich planach wakacyjnych. Relacje były poprawne, choć Alina z trudem ukrywała niechęć do Joanny.

Szybko mija kilka kolejnych dni i Marek z Joanną wracają samochodem do domu.

\*

Dojeżdżając już do miejsca zamieszkania, Marek odbiera telefon od Aliny, która chce się z nim pilnie spotkać i zaprasza do swojego domu. Marek zgadza się i od razu podjeżdżają do niej. Podchodzą do drzwi i kilkakrotnie dzwonią, a potem pukają, ale nikt im nie otwiera. Zdziwieni tą sytuacją jadą więc do siebie. Tam po podróży przebierają się w domowe ciuchy – Marek wkłada dres, a Joanna idzie zaraz do kuchni przygotować posiłek. Krótco potem ponownie do Marka dzwoni Alina, która wyjaśnia, że nie otworzyła im drzwi domu, ponieważ nie chciała, żeby w rozmowie brała udział Joanna. Następnie natarczywie jeszcze raz zaprasza go do swojego domu, ponieważ sprawa, którą chce omówić, jest bardzo pilna. Równocześnie zaznacza, że rozmowa będzie krótka, a zatem zdąży on jeszcze wrócić na obiad. Marek informuje o tym Joannę i uzgadniają, że wyjdzie tylko na piętnaście czy dwadzieścia minut. Żeby nie tracić czasu, wsiada w dresie do samochodu, nie zabierając nawet ze sobą dokumentów, wszak to tylko trzy, może cztery



minuty jazdy.

Mija godzina, dwie... Marek nie wraca. Zostawił w domu telefon, więc nie ma z nim kontaktu. Joanna zaczyna się niepokoić. W końcu rusza pieszo w stronę domu Aliny. Przed domem pusto, nie ma samochodu Marka. Najpierw dzwoni, potem puka do drzwi. Cisza. Nie słycać żadnego ruchu. Nikt nie otwiera. Wraca do domu z cichą nadzieją, że go tam już zastanie. Niestety... Kontaktuje się więc telefonicznie z Aliną, która stwierdza, że nadal jest w Świnoujściu, owszem, faktycznie dzwoniła i umawiała się na rozmowę z Markiem, ale dopiero po swoim powrocie. Musiał ją źle zrozumieć.

Więc dokąd pojechał? I to bez dokumentów? Czeka całą noc... Bezskutecznie. Następnego dnia decyduje się zawiadomić policję. Ale to tylko zaginięcie dorosłego mężczyzny, który gdzieś wyjechał, być może okłamując przedtem swoją partnerkę. Nic alarmującego. Trzeba poczekać, aż się odezwie.

Po kilku dniach samochód Marka zostaje odnaleziony na parkingu przy dworcu PKP. Początkowo sugeruje to, że gdzieś pojechał, nie informując o tym Joanny. Ale dlaczego zostawił dokumenty, karty płatnicze i nie zabrał żadnych pieniędzy? Pozornie błahe zniknięcie zaczyna przekształcać się w coś poważniejszego. Okoliczności mogą wskazywać na jego uprowadzenie i w tym kierunku rozpoczyna się śledztwo. Nadal nie wiadomo, co się z nim dzieje. Podczas przesłuchań Joanny, Aliny i Emila poznajemy relacje pomiędzy nimi a Markiem. Na pierwszy plan bardzo szybko wybija się motyw Aliny, która mogła pragnąć zemsty na byłym kochanku.

Po sprawdzeniu nie ma jednak wątpliwości, że w czasie jego zniknięcia była wciąż w Świnoujściu. Ale innego motywu nie widać... Nadal brak informacji o Marku. Jeżeli został uprowadzony, to przez kogo i w jakim celu? Nikt się nie zgłasza z żadnymi żądaniem. Kto zresztą miałby je zrealizować?

Tak naprawdę od początku, kiedy przestaliśmy to zniknięcie traktować jako wybryk wynikający z osobistych relacji Marka z Joanną, czujemy, że to zabójstwo. Tylko gdzie jest ciało? Bez tego niewiele wskóramy. Oględziny domu Aliny też nie przynoszą

spodziewanych efektów.

A kto jest sprawcą? Wcześniej odpadła Joanna – zupełny brak motywu, nawet ukrytego – to była szczęśliwa para, wszystko było przed nimi. Utrata Marka to dla niej życiowy cios. Nic też po nim nie dziedziczy, jej sytuacja materialna nawet gwałtownie pogarsza się. Natomiast Aliny nie było przecież w domu. Czyli ktoś inny, kogo jeszcze nie znamy, działający pewnie z nią w porozumieniu.

Mijają dni, tygodnie, miesiące... Drepczemy w miejscu. Ale nie próżnujemy. Rutynowo prowadzimy działania poszukiwawcze, żebyśmy nie mogli sobie niczego zarzucić, ale praktycznie już bez żadnej nadziei na pomyślny efekt. Równocześnie, kierując się przyjętym motywem, uważnie obserwujemy, jak teraz układa się życie Aliny i Emila oraz jej brata Tadeusza W. Ona, pomimo pozornego braku stałych dochodów, nadal nigdzie nie pracuje i finalizuje prace wykończeniowe w swoim domu. Tłumaczy, że środki na to zostawił jej Marek jeszcze przy rozstaniu. Emil pozostaje wciąż jej partnerem, lecz jego dochody są mizerne. Tymczasem jej brat nieoczekiwanie kupuje sobie myjnię samochodową. Dość mętnie wyjaśnia, że sfinansował to częściowo z własnych oszczędności oraz dzięki wsparciu swojego współnika w tym interesie – niejakiego Andrzeja O.

Niestety, w dalszym ciągu nie mamy zwłok Marka, a zatem nie mamy też zabójstwa ani jego sprawcy. Poza motywem też nic konkretnego nie wiemy. Pozostaje dalsze czekanie. Na jakiś błąd, jakiś ślad albo informację, która pozwoli ruszyć do przodu. Prokurator podziela nasze oceny, ale pyta, jak długo jeszcze można prowadzić tę sprawę. Na co konkretnie liczymy? Proponuje – ustalmy jakiś termin zakończenia.

Nadal nic się nie zmienia. Życie toczy się swoim biegiem i zniknięcie Marka powoli odchodzi w przeszłość. Nie jesteśmy już w stanie uzasadnić sensu dalszego przedłużenia postępowania.

Któregoś dnia siadamy razem i ponownie rozpatrujemy wszystko, szczególnie – może ktoś wpadnie na jakiś pomysł, może dostrzeżemy jakiś błąd. W pewnym momencie staje się oczywiste,

że jedyną szansą, pomimo braku dowodów, jest działanie takie, jakbyśmy właśnie je mieli. I to bardzo mocne. Tylko to może rozsądzić znowę milczenia wokół Aliny W. Zapada więc decyzja o zatrzymaniu czterech osób – Aliny i jej przyjaciela Emila oraz jej brata Tadeusza i jego wspólnika biznesowego Andrzeja O. Liczymy, że choć jedna z nich nie wytrzyma presji i popełni błąd. Najłabszym ogniwnem wydaje się Emil, który, będąc facetem Aliny, może dużo wiedzieć na temat tego, co się naprawdę wydarzyło. Głównymi podejrzanymi są zatem Tadeusz W. i Andrzej O.

To oni zostaną zatrzymani jako pierwsi i to tak, aby informacja o tym dotarła do Aliny. Niech się obawia, może popełni błędy, może zdenerwuje ją niepewność, dlaczego oni, co powiedzą? Ją i Emila planujemy zatrzymać następnego dnia, jakby w konsekwencji wyjaśnień złożonych przez pierwszą dwójkę. Będą spięci do ostateczności.

Zdajemy sobie sprawę, że nasza przegrana oznacza ostateczne zamknięcie tej sprawy i tym samym zapewne bezkarność zabójcy. Przygotowujemy się starannie. Aby stale obserwować dom Aliny, parkujemy w pobliżu stary, nierzucający się w oczy samochód popularnej marki, w którym zamontowana jest niezauważalna minikamera pozwalająca na bieżący monitoring sytuacji. Będziemy w każdej chwili wiedzieli, czy jest w domu, kiedy wyszła, kiedy wróciła. To bardzo ułatwi wybór momentu zatrzymania.

Ruszamy! Dość szybko i sprawnie udaje się zatrzymać już wcześniej obserwowanych w tym celu Tadeusza i Andrzeja. Od razu zaczynamy oddzielne przesłuchania. Sugerujemy im, że wszystko wiemy i żadne „ściemnianie” nie przejdzie. Płyną godziny, tymczasem dowiadujemy się, że Alina poprzez znajomych usiłuje ustalić, która jednostka dokonała zatrzymania jej brata i chce w tej sprawie interweniować... Ostro idzie, ma tupet.

Ważą się losy sprawy. I nagle przełom – i to z najmniej oczekiwanej strony. Andrzej O. pęka i przyznaje się do zabójstwa Marka N. Opowiada, że inspiratorem i pomysłodawcą planu była Alina. Wiedziała, iż po jego zniknięciu będzie główną podejrzaną, dlatego

zapewniła sobie alibi, wyjeżdżając do Świnoujścia. Do udziału w zbrodni namówiła swojego brata i właśnie Andrzeja, kusząc ich dużymi korzyściami finansowymi, które spodziewała się wyciągnąć z konta w Luksemburgu.

Feralnego dnia obaj czekali w jej domu na przyjazd Marka, zwabionego telefonem od Aliny. Gdy jednak pojawił się on w towarzystwie Joanny, nie otworzyli drzwi. Zawiadomili o tym Alinę, która po krótkim czasie jeszcze raz zatelefonowała do Marka, zapraszając go na pilne spotkanie. Gdy przyjechał sam, drzwi otworzył mu Tadeusz i wprowadził do środka, tłumacząc, że Alina czeka w salonie. We wnętrzu zaczajony Andrzej zaatakował go, kilkakrotnie uderzając metalową rurką w głowę. Gdy stwierdzili, że nie żyje, telefonicznie powiadomili Alinę o wykonaniu planu. Wcześniej ustalono, że zakopią ciało w lesie, ale nie mówiąc nic Alinie, zmienili plan. Obawiali się, że ktoś może ich przy tym zobaczyć i sytuacja się skomplikuje. Ponieważ podłoga w kuchni domu Aliny nie była jeszcze położona, postanowili tam ukryć zwłoki. Wykopali głęboki dół, zepchnęli ciało i zasypali. Następnie wylali na to zaprawę cementową, tworząc betonową posadzkę, na której krótko potem położono kafelki. Nie było żadnego śladu, że Marek w ogóle tam był. Gdy Alina po dwóch dniach wróciła ze Świnoujścia, była przekonana, że jej byłego partnera zakopano w lesie.

Po tym przesłuchaniu nie tracimy ani chwili – natychmiast zatrzymujemy Alinę i Emila, a równocześnie druga ekipa z prokuratorem jedzie do jej domu. Jest już późna noc, gdy Andrzej O. podczas wizji lokalnej pokazuje przebieg zabójstwa i miejsce ukrycia zwłok. Faktycznie, wykafelkowana posadzka w kuchni wygląda nienagannie. Zrywamy kafelki, rozbijamy beton i kopujemy. Ciężka praca, dół jest coraz głębszy, ale zwłok nie widać. Skrycie przeżywamy chwile zwątpienia, może on coś kręci, coś będzie nie tak, ale raptem... jest... Natrafiamy na ciało, dobrze zachowane pomimo upływu czasu. To Marek. Wszystko się zgadza. Nazajutrz, podczas kolejnych przesłuchań pęka brat Aliny i potwierdza fakty podane przez Andrzeja.

O dziwo, Emil twierdzi, że nic nie wiedział, wypiera się wszystkiego. A myśleliśmy, iż będzie najślabszym ogniwem w tej grupie.

Finiszujemy. Nadszedł czas przesłuchania Aliny. Jest prowadzone bardzo spokojnie, a ona hardo do niczego się nie przyznaje, wszystkiemu zaprzecza. Nieważne, że ktoś ją obciąża. Domyślamy się – liczy, że nigdy nie odnajdziemy zwłok i wyjdzie z tego cało. Wtedy naczelnik proponuje jej obejrzenie krótkiego filmu. Alina siada przed monitorem i ogląda swoją kuchnię, widzi zdejmowanie posadzki, kopanie dołu... lecz gdy dostrzega zwłoki Marka, nagle mdleje. Ściągamy pielęgniarkę, która daje jej coś do picia. Po kilku minutach jest już przytomna, ale nadal w szoku. Właśnie uświadomiła sobie, że od wielu miesięcy mieszkała i gotowała posiłki na grobie swojego byłego kochanka. Tego jednego nie przewidziała. Przecież zwłoki miały być w lesie. Misterny plan zawalił się w jednej chwili.

Teraz już przyznaje się i wyjaśnia bez oporów. Nie mogła Markowi darować odejścia, po którym zawalił się jej cały świat, wszystkie marzenia i plany. Niczym nie pocieszyły jej pieniądze i darowany dom. Coraz bardziej narastała w niej złość i żal. Nie mogła się pogodzić, że on jest już z inną i tamta tak łatwo zajęła jej miejsce. Cały czas myślała o rewanżu. Stopniowo powstał plan, aby zwabić go do domu i usunąć. Chciała też korzystać z pieniędzy zgromadzonych w Luksemburgu. Do współudziału namówiła więc brata Tadeusza i jego kompana Andrzeja, obiecując im za to pieniądze na kupno myjni samochodowej. Podzielili role tak, aby ona miała zapewnione alibi. Istotą planu było ukrycie zwłok w taki sposób, by nie dało się udowodnić zabójstwa. Następnie wszystko odbyło się zgodnie z przewidywaniami. Oczywiście wiedziała, że ją podejrzewamy, ale była pewna, iż nic nie udowodnimy. W miarę upływu czasu sytuacja coraz bardziej układała się po jej myśli. Jeździła do Luksemburga pobierać nieduże kwoty z konta, co pozwoliło jej na wygodne życie oraz zakupienie myjni dla brata i Andrzeja. Prawie wszystko się udało.

## DYREKTOR

Byłem wówczas świeżo upieczonym zastępcą naczelnika Wydziału. Niedawno wprowadzono dyżury domowe kierownictwa i mnie właśnie wypadła dyżur tej niedzieli. Był to piękny dzień i już wcześniej umówiłem się ze znajomym – Janem Z. – dyrektorem pewnego zespołu gospodarstw rolnych na spotkanie w malowniczym pałacyku będącym siedzibą firmy. Zaprosił mnie tam na przejażdżkę dorożką po pięknej okolicy. Był bardzo gościnnym gospodarzem i spędziliśmy też sporo czasu na pogawędce przy smakowicie zastawionym stole.

Pod koniec tego miłego dnia otrzymałem wiadomość od dyżurnego KWP, że w nieodległym miasteczku ujawniono zabójstwo i udała się tam grupa operacyjno-śledcza z naszej komendy. Postanowiłem więc również tam niezwłocznie pojechać, ale z drugiej strony żał mi było sielskiej atmosfery niedzielного spotkania. I wtedy wpadł mi do głowy przewrotny pomysł, aby zabrać ze sobą mojego gospodarza. Chciałem, by osobiście przekonał się, jak wygląda policyjna praca na miejscu zdarzenia. Oczywiście nie mógł on tam przybyć jako dyrektor zespołu gospodarstw rolnych, więc na poczekaniu wymyśliłem, że przedstawię go jako przedstawiciela Komendy Głównej Policji, który nadzoruje czynności śledcze.

Gdy przybyliśmy na miejsce, okazało się, że zamordowany został siedemdziesięcioletni, samotnie mieszkający mężczyzna. Sprawca kilkakrotnie uderzył go ciężkim narzędziem w głowę, powodując natychmiastowy zgon. Na miejscu oprócz ekipy policyjnej znajdowali się też dobrze mi znany miejscowy prokurator oraz zaprzyjaźniony lekarz – biegły medycyny sądowej. Po przedstawieniu im mojego towarzysza jako pracownika KGP, ten, ku mojemu zdziwieniu, zaczął znakomicie wcielać się w swoją rolę. Najpierw przywołał biegłego medyka – zresztą świetnego specjalistę

z wielkim doświadczeniem – i władczym tonem rozpytywał go na temat przyczyn zgonu, używając przy tym, o dziwo, profesjonalnego słownictwa z zakresu medycyny sądowej, pytając między innymi o „mechanizm śmierci” itp.

Po wysłuchaniu bieglego tym samym stanowczym tonem przywołał nadzorującego czynności prokuratora i nakazał mu zreferowanie stanu śledztwa. Przejęty prokurator udzielił szczegółowo wszelkich informacji. Byłem nie mniej niż oni zaskoczony jego aktywnością i zacząłem się niepokoić, żeby swoimi działaniami zanadto nie zestresował pozostałych pracowników grupy albo nie zdradził się brakiem profesjonalizmu w dyskusji o szczegółach. Równocześnie nie ukrywam, że z jednej strony podziwiałem jego aktorstwo, a z drugiej wewnętrznie pękałem ze śmiechu, mimo iż sytuacja na miejscu była bardzo poważna.

Po zakończeniu wstępnych czynności zaczęły nadochodzić mnie jednak obawy, że w miarę upływu czasu nasza mistyfikacja wyjdzie na jaw i doprowadzi do jakiegoś konfliktu czy niepotrzebnej obrazy. Toteż, gdy wieczorem omawialiśmy w miejscowym komisariacie wyniki ustaleń, w pewnym momencie poprosiłem dyrektora oraz medyka sądowego do sąsiedniego pomieszczenia i jeszcze raz przedstawiłem ich sobie, tym razem nie ukrywając już tożsamości znajomego. Było oczywiście wielkie zaskoczenie, ale poczucie humoru zwyciężyło. Wspólnie spędziliśmy tam jeszcze kilka godzin w bardzo dobrej komitywie.

## BUTY

Znaleziono ją leżącą przy torach trasy kolejowej łączącej dwa duże miasta wojewódzkie. Była to skromnie ubrana starsza kobieta. Jej zwłoki nosiły obrażenia typowe dla zdarzeń takich jak wypadnięcie z pociągu.

I na coś takiego to właśnie wyglądało. Można się było oczywiście zastanawiać, czy był to akt samobójczej desperacji, czy też po prostu nieszczęśliwy wypadek, ale w takich sytuacjach nie sposób zwykle tego do końca ustalić.

Wydawało się więc, że już po wszystkim, że sprawa jest prosta, gdy podczas oględzin ciała zauważyłem, że na jej nogach nie ma butów. Nie było w tym też nic szczególnego, jako że przy upadku znaczną prędkością obuwie często spada ludziom z nóg i leży potem w pewnej odległości od zwłok. Toteż zleciłem kolegom, aby przeszukali najbliższy teren w celu ich odnalezienia. Kontynuowałem oględziny, a poszukiwania trwały najpierw w promieniu kilku metrów, potem kilkunastu... wreszcie kilkudziesięciu. Butów jednak nigdzie nie było. Czyżby ktoś przypadkowy zabrał je przed naszym przyjazdem? Dziwne, ale niewykluczone. A może po prostu wypadła z pociągu już bez butów, może je wcześniej zdjęła i zostały w wagonie? Wszystko możliwe.

Nie było też torebki, a więc zarazem niczego, co umożliwiłoby szybką identyfikację. No, ale mogła zostać w przedziale. W końcu nie musiała jej mieć przy sobie. Spróbujemy ją odszukać na stacjach – może ktoś oddał konduktorowi?

Czynności zbliżają się do końca. Ciało denatki już zabrano. Czekam, aż pozostali koledzy zwiną swój sprzęt, żebyśmy mogli ruszyć w drogę powrotną. Łążę sobie bez celu wzdłuż torowiska i ciągle mam w głowie te buty. Może jednak coś przeoczyliśmy, coś istotnego. Może, choć to bezsensowne, wyrzuciła je wcześniej,



zanim na przykład skoczyła... Wędruję więc w kierunku przeciwnym do biegu pociągu sto, może dwieście metrów... Rozglądam się, ale nic nie ma. Wracam. Technicy jeszcze się grzebią, coś tam pakują. Spaceruję więc dalej, tym razem w drugą stronę. Świeci słońce, spokój, cisza, przyjemnie się idzie... Relaks. Chyba za daleko się zapędziłem, zaraz będą mnie wołać.

I nagle widzę leżący damski but. Jak to... tutaj? Szybko przeczesuję sąsiedztwo... Jest i drugi!

Jak one mogły się tu znaleźć? Przecież same nie wypadły. Ktoś więc je wyrzucił z pociągu, krótko po tym, jak wypadła ofiara. Wypadła więc nieprzypadkowo i nie w celach samobójczych. To już nie był wypadek. To zabójstwo.

Sekcja zwłok wykazała, że kobieta została jednak najpierw uduszona, a dopiero potem wypchnięta z pociągu.

Przez pewien czas nie mogliśmy w żaden sposób ustalić jej tożsamości. Wreszcie przyszła wiadomość od mieszkającej w Polsce młodej Rosjanki, która bezskutecznie czekała na przyjazd z Rosji swojej matki. Nie było jej w pociągu, którym miała przyjechać, i od tej pory nie dała znaku życia. Podczas okazania ciała nie miała żadnej wątpliwości – to była właśnie ona. Okazało się, że miała jej do Polski przywieźć dwa pierścionki, futro, komplet sztućców i inne przedmioty. Nie wiadomo było, co się z nimi stało, ale ona potrafiła je dość dokładnie opisać, tak że ekspert nie miał kłopotu, żeby wiernie odtworzyć ich wygląd. W toku dalszego śledztwa od mieszkającej w Rosji rodziny zmarłej dowiedzieliśmy się, którym pociągiem wyjechała do Polski i kiedy miała przekraczać granicę. Przesłuchany konduktor stanowczo utrzymywał, że w wagonie nie zostały żadne przedmioty, nic cennego. A zatem... ktoś je zabrał. Być może ten sam, który przedtem ją zabił.

Postanowiliśmy więc pójść tropem zaginionych rzeczy. Zaczęto sprawdzać komisje, lombardy, sklepy jubilerskie... wszystko pod kątem ich sprzedaży lub zastawienia. Żmudna praca dość szybko opłacała się – w jednym z komisów w Jeleniej Górze natrafiliśmy na nieomal identyczne futro. Wstawił je do sprzedaży anonimowy

mężczyzna, któremu odbiór towaru bądź pieniędzy gwarantował kwit wystawiony przez sprzedawcę. Zabezpieczone futro okazano córce ofiary, która rozpoznała je bez cienia wątpliwości. Pozostało więc tylko czekać, kto się po nie zgłosi.

Nasza cierpliwość została nagrodzona po dwóch dniach. Zjawił się wtedy starszy, sześćdziesięciokilkuletni mężczyzna, Jerzy K., który okazał kwit i chciał odebrać futro.

Został natychmiast zatrzymany. W trakcie przesłuchania przyznał, że tamtego dnia jechał pociągiem z żoną. Wracali z Rosji, gdzie ponoć odwiedzali znajomych i trochę handlowali. Futro zostawiła w przedziale kobieta, która wcześniej wysiadała. Ponieważ interesy szły im kiepsko, postanowili je przywłaszczyć i sprzedać. Nie miał pojęcia, co się stało z jego właścicielką. Mówił spokojnie, starannie dobierając słowa, sprawiał wrażenie wręcz przygotowanego na ewentualną wpadkę w komisie. Dziwne... tak nie reaguje osoba niewinna. No i wiele szczegółów jeszcze trzeba było wyjaśnić.

Ale żeby nie mógł nam bezkarnie kręcić, postanowiono niezwłocznie zatrzymać też jego żonę Renatę K. Zestawiając ich wyjaśnienia, łatwiej będzie wychwycić nieścisłości w detalach i zwykle kłamstwa.

\*

To był dobry krok. Od początku pytaliśmy ją tylko o motywy zabójstwa, tak jakbyśmy już wszystko wiedzieli. Nie próbowała nawet zaprzeczać.

Wyjechali z mężem do Rosji nakupić tanich wyrobów ze złota. Po zakupach, gdy już wracali pociągiem do kraju, w ich przedziale podróżowała też starsza kobieta – Rosjanka. Długa podróż sprzyjała rozmowom. Opowiadała, że jedzie do Polski odwiedzić córkę. Widzieli, że ma ze sobą dużo bagaży.

Podczas skrupulatnej kontroli na granicy celnicy zabrali im prawie cały zakupiony towar, ponieważ nie mieli dokumentów potwierdzających legalny jego zakup. Rosjanka natomiast przeszła kontrolę bez problemów, deklarując przewóz biżuterii, sztucców,

futra oraz innych przedmiotów i przedstawiając wymagane dokumenty. Byli załamani. Nie mogli się pogodzić ze stratą. To niesprawiedliwe. Byli rozżaleni i równocześnie wściekli, że tamtej się udało. W pewnej chwili zaczął w nich kiełkować pomysł, aby się jakoś odegrać – dlaczego jej miało się udać, skoro im nie poszło. Coś z tego muszą mieć!

Rosjanka, rozpromieniona i rozgadana, cieszyła się już na spotkanie z córką. Czule ją wspominała. Tymczasem oni porozumiewali się wzrokiem. Myśleli tak samo. Gdy za którąś stacją Rosjanka wyszła na korytarz, udając się do ubikacji, Jerzy K. poszedł za nią. Przy drzwiach toalety od tyłu chwycił ją za szyję i zaczął dusić. Była całkowicie zaskoczona. Gdy straciła przytomność, przeszukał ją, zabierając biżuterię, po czym otworzył drzwi wagonu i wypchnął z pędzącego pociągu. Kto ją w Polsce rozpozna – pomyślał. Raptem dostrzegł, że na podłodze wagonu zostały jej buty. Podniósł je, ponownie uchylił drzwi i wyrzucił. Nie może być żadnych śladów jej obecności.

Później, wysiadając na swojej stacji, zabrali jej torebkę i bagaże ze sobą. Stopniowo, dzień po dniu sprzedawali znajomym wartościowe przedmioty. W ten sposób odzyskali znaczną część utraconych pieniędzy. Tylko futro nie znalazło nabywcy i Jerzy zaniósł je do komisju.

Krok po kroku trafialiśmy potem do domów nabywców skradzionych rzeczy. Odzyskano je prawie wszystkie. Okazania potwierdziły, iż należały do zmarłej.

Sąd nie miał wątpliwości, skazując Jerzego K. i jego żonę na najwyższy wymiar kary.

## JEDEN BŁĄD

Był ponury listopadowy wieczór. Spadł właśnie pierwszy śnieg. Mała miejscowość, spokojna, sprawiająca wrażenie zapomnianej, położona kilka kilometrów od miasta powiatowego.

W jednym z domów czteroosobowa rodzina szykuje się do spoczynku. Matka – Barbara W. wychodzi z domu, udając się do ubikacji usytuowanej obok obory. Po pewnym czasie zaniepokojony jej długą nieobecnością mąż Henryk wychodzi z domu sprawdzić, co jest tego przyczyną. Woła ją po imieniu, ale nikt nie odpowiada. Podchodząc do obory, spostrzega niedomknięte drzwi. Świeży śnieg przed nimi jest zdeptany z widocznymi śladami tarzania się. Od tego miejsca ciągną się dalej ślady wleczenia czegoś ciężkiego w stronę pobliskiej rzeki. Urywają się dopiero przy lustrze wody w miejscu tzw. pojnika, gdzie latem poi się krowy. Henryk wpada w panikę, przeczuwa najgorsze i biegiem wraca do domu, po czym niezwłocznie zawiadamia policję.

Nad ranem budzi mnie telefon od oficera dyżurnego, który w kilku słowach streszcza sytuację. Muszę jechać. W komendzie zbierają się już policjanci tworzący grupę operacyjno-śledczą. Po przybyciu na miejsce koncentrujemy się na śladach. W ich pobliżu znajdujemy latarkę, którą Barbara zabrała, wychodząc z domu. Nie ma wątpliwości, że została przez kogoś zaatakowana, obezwładniona, zawleczona na brzeg i wrzucona do rzeki. Lecz poziom wody jest w tym miejscu zbyt niski, aby wepchnąć ciało do głównego nurtu. Napastnik musiał więc sam również wejść do wody.

Zaczęliśmy typować potencjalnych podejrzanych, kierując się kluczem motywacji działania sprawcy. Tło rabunkowe i jakaś zemsta raczej odpadały. Sprawca nie mógł też wiedzieć, kiedy akurat kobieta wyjdzie z domu. A zatem zaskoczyła go i mogła też paść ofiarą gwałtu. W pewnym momencie, prowadząc rozpoznanie wśród

okolicznych mieszkańców, dowiedzieliśmy się, że zamieszkały w pobliżu Maciej R., ojciec pięciorga dzieci, jest nadpobudliwy seksualnie i wstępnie postawiono roboczą hipotezę, iż mógł chcieć zgwałcić sąsiadkę. Ponieważ na razie nie było innych ustaleń, niezwłocznie przystąpiliśmy do sprawdzania tej wersji. Rozpoczęto więc przeszukanie domu Macieja w poszukiwaniu mokrego obuwia. Ustalono, iż na co dzień chodził w wysokich butach gumowo-filcowych. Zapytany o nie stwierdził jednak, że były już stare i dawno je wyrzucił. Nie uwierzyliśmy mu, bo ludzie mówili, iż widziano go w nich jeszcze poprzedniego dnia. Szukamy więc nadal tych butów, ale nigdzie ich nie było. Zaczęliśmy już myśleć o rozszerzeniu obszaru poszukiwań, gdy ktoś zwrócił uwagę na strych. Tam dość szybko na nie trafiliśmy – stały mokre wśród różnych rupieci.

W tej sytuacji Maciej nie wytrzymał i zaczął płakać. Od razu przyznał się do zabójstwa i opisał jego okoliczności. Był nadpobudliwy i kontakty intymne z żoną już mu nie wystarczały. Zainteresował się owcami, które biernie znosiły jego zaloty. Żona zaczęła coś podejrzewać i sprzedała wszystkie owce. Tego wieczoru wybrał się więc do obory sąsiadów i zaczął tam uprawiać seks z jedną z owiec. Pech chciał, że w tym czasie niespodziewanie nadeszła sąsiadka. Weszła do obory, zapaliła światło i zobaczyła, co się dzieje. Zaskoczona krzyknęła: „Co ty robisz, jak wszystkim powiem...” i chciała odejść. On jednak zdążył dobiec i uderzył ją drzwiami. Gdy upadła, pochylił się nad nią i rękoma udusił. Ciało włókł potem około stu pięćdziesięciu metrów do płynącej w pobliżu rzeki. Zaklinał się, że nie chciał zabijać sąsiadki, ale ogarnął go wówczas jakiś amok, a gdy zorientował się, że nie żyje, wystraszył się i wrzucił ciało do wody. Gdy zabieraliśmy go skutego kajdankami, żona i dzieci płakały. Najmłodszy, trzyletni syn uczeplił się jego nogi i uparcie powtarzał: „Ja taty nie puszcze”.

Sąd przyjął, że Maciej działał pod wpływem impulsu i skazał go na piętnaście lat pozbawienia wolności. Przez myśl mi nie przyszło, że jeszcze będę miał z nim do czynienia.

Gdy zaczął odbywać karę, był w środowisku współwięźniów

kierujących się swoistym kodeksem etycznym bardzo źle traktowany z uwagi na wynikające z okoliczności zbrodni skłonności do zoofilii. Wciąż go tam prześladowano i poniżano. W tej sytuacji wybawieniem okazało się skierowanie go przez sąd na roczne leczenie do szpitala psychiatrycznego. Tam się jakoś odnalazł, a że potrafił przy tym wszystko naprawić, to w końcu zaczęto mu nawet zlecać wykonywanie różnych prac remontowo-ciesielskich.

Traf chciał, iż prowadzący go lekarz budował sobie dom i chętnie wykorzystywał umiejętności swojego pacjenta do realizacji różnych zadań budowlanych. W tym okresie Maciej praktycznie więc mieszkał na terenie budowy i jadał posiłki u sąsiadów lekarza – rodziny Nowaków. Taki sposób odbywania kary i leczenia bardzo mu odpowiadał.

Minął ponad rok od tamtego morderstwa, gdy zawiadomiono nas o brutalnym zabójstwie dwóch osób w miejscowości, w której, jak się później okazało, przebywał właśnie na leczeniu Maciej R.

Przyjeżdżamy. Wolno stojący dom jednorodzinny należący do rodziny Nowaków. W kuchni na podłodze zakrwawione zwłoki kobiety. Twarz zmasakrowana, na głowie i rękach liczne rany rąbane. W jednym z pokoi, gdzie spali rodzice zamordowanej i jej syn, zastajemy przerażający widok. Ślady krwi wraz z pierzem z kołder były nawet na suficie. Dziadek zarąbany ostrym narzędziem – prawdopodobnie toporkiem, zginął na miejscu. Babcia była w bardzo ciężkim stanie, nie można było z nią rozmawiać i wkrótce potem zmarła, a ich ośmioletni wnuczek przeżył, nie odzyskując jednak nigdy pełnej sprawności ruchowej ani umysłowej. Nie można było się z nim porozumieć – wydawał tylko niezrozumiałe dźwięki.

Szybko ustaliliśmy, że w pobliżu był widziany Maciej R. Natychmiast sprawdzono, że nie ma go ani w szpitalu, ani w zakładzie karnym.

Pojechałem więc do sądu zapytać, co się z nim dzieje, gdzie właściwie teraz powinien się znajdować. Tam dopiero wówczas od sędzi dowiedziałem się, że wysłała mu wcześniej do wiadomości postanowienie o zakończeniu leczenia i powrocie do więzienia.

– A co się stało? – pyta zdziwiona sędzia.

– Był w odwiedzinach – odpowiadam zdenerwowany i nie wytrzymuję – szkoda, że pani też nie odwiedziła.

A potem opowiedziałem o zabójstwie. Było oczywiste, że, przerażony perspektywą powrotu do wrogiego mu środowiska, nie czekał na przyjazd konwoju, tylko zabrał swoją siekierkę ciesielską, zaatakował i zniknął.

Obrażona napisała na mnie zaraz skargę do komendanta wojewódzkiego. Ten niezwłocznie wezwał mnie na rozmowę. Po przedstawieniu mojej relacji stwierdził:

– Wiesz co, ja bym też tak powiedział, porozmawiam z jej przełożonym.

Tymczasem Maciej nadal ukrywał się i zawędrował kilkadziesiąt kilometrów dalej, do sąsiedniego województwa. Tam w małej miejscowości, w podobny sposób zamordował w domu trzysobową rodzinę. Sprawa była początkowo prowadzona oddzielnie, bo nie było jeszcze pewności, że to on jest sprawcą. Ale gdy to skojarzono, w okolicy wybuchła panika i do poszukiwań zaangażowano duże siły policyjne, które systematycznie posuwały się jego tropami w oparciu o informacje mieszkańców. W pewnym momencie, gdy zdał sobie sprawę, że zostanie schwytany, w lesie wszedł na drzewo i powiesił się na gałęzi. Po pewnym czasie sznur się urwał i ciało spadło na ziemię.

Znaleziono przy nim pęk kluczy pasujących do domu Nowaków. Wśród tamtejszych ludzi rozeszła się fama, że zastrzeliła go policja.

## IMIENINY

Milowymi krokami zbliżały się imieniny Janka. Był tylko jeden o tym imieniu w naszym Wydziale, w związku z czym wszyscy dokładnie znali tę datę i z góry szykowali się na znakomite pączki, którymi zawsze częstował. Rozdzwaniał się wtedy telefon, który ja najpierw odbierałem w jego zastępstwie, mówiąc – słucham, tu gabinet pana Janka – po czym przekazywałem mu słuchawkę, aby mógł odbierać życzenia i zapraszać na poczęstunek. Wiedział, że od tego się nie wymiga, był bowiem człowiekiem pogodnym i powszechnie lubianym. Dlatego zawsze w tym dniu przekładał swoje mniej pilne zadania na kiedy indziej, aby mógł bez przeszkód poświęcić się przyjmowaniu gości i nie musiał nagle wypraszać ich z pokoju.

Tym razem też było jak zwykle. Wchodzili z kwiatami albo symbolicznymi upominkami i Janek nie ustawał w parzeniu kawy czy herbaty... Minęło w ten sposób kilka godzin i stopniowo sytuacja się uspokoiła. Zostali najbliżsi koledzy, a rozmowy z ogólników i dowcipów przeszły na ciekawostki, plotki i wspominki. W pewnym momencie ktoś nie wytrzymał:

– Jasiu, jakbyś miał szampana, to wzniosę toast za twoje zdrowie. Wyjmij go wreszcie z biurka.

Janek podrapał się w głowę, uśmiechnął, zajrzał pod biurko i mówi:

– Ale ja tam nic nie mam. – Potem spojrzął na nas i, widząc na twarzach wyraz oczekiwania, zmobilizował się.

– Macie rację, poczekajcie, będę za dziesięć minut.

Chwila, moment, wziął torbę i wyszedł. Towarzystwo wróciło do anegdot, kpin i wzajemnego, życzliwego obgadywania.

Tymczasem Janek z torbą w ręku wychodzi przez wejście główne komendy, kierując się w stronę pobliskiego sklepu.

– Dokąd się wybierasz, Jasiu? – słyszy nagle pytanie z tyłu.

Zna ten głos, odwraca się i raptem sztywnieje – to komendant.



– Do prokuratury, po akta sprawy, panie komendancie – odpowiada służbiście.

– Chodź, jadę właśnie w tym kierunku, to cię podrzucę, po co masz wlec się tramwajem – nalega przełożony, wskazując mu swoją służbową limuzynę.

Janek oczywiście nie ma śmiałości odrzucić jego uprzejmości. Wsiada do samochodu i odjeżdżają. Do budynku prokuratury docierają po kwadransie.

– Dziękuję, panie komendancie. – Janek ugrzeczniony wysiada i pewnym krokiem wchodzi do gmachu. W holu odczeka kilka minut, po czym tramwajem rusza w powrotną drogę.

W tym czasie goście imieninowi już się niecierpliwią. Próbuje złapać go telefonicznie, ale sygnał jego telefonu odzywa się z szuflady biurka – nie zabrał go.

– Pewnie była długa kolejka – ktoś uspokaja. Rozmowy jeszcze trwają, ale po kolejnym kwadransie większość musi już wracać do swoich obowiązków.

Co się stało z Jankiem? Wziął nas na czas? – zastanawiają się. Albo nie było szampana i poszedł dalej go szukać? Jak to nie było? Niektórzy są zdziwieni, inni rozczarowani takim zakończeniem. Powoli się rozchodzą. I wtedy dostrzegają wracającego pospiesznym krokiem Janka.

– Gdzie byłeś, co się stało? – wykrzykują rozżaleni. A Jasiu uśmiecha się ze stoickim spokojem.

– Po prostu odbierałem życzenia od pana komendanta.

## ARAB

Zwłoki trzydziestokilkuletniego mężczyzny leżały w przydrożnym rowie obok trasy łączącej dwa duże miasta wojewódzkie. Mimo że był już początek października i zaczynały się chłodniejsze dni, denat miał na sobie zaplamioną krwią letnią odzież, w której nie było jednak żadnych dokumentów ani przedmiotów pozwalających na jego identyfikację. Ustalono, że zginął od ponad dwudziestu ciosów nożem, tak jakby zabójca wpadł w furję albo chciał mieć pewność, że już się nie podniesie. Musiało się to stać kilka dni temu, a padający w międzyczasie deszcz skutecznie usunął większość śladów. Nie było nic, co mogłoby wskazywać na osobę sprawcy.

Aby zacząć go szukać, musieliśmy najpierw ustalić tożsamość ofiary. W tym celu podczas sekcji w Zakładzie Medycyny Sądowej UM fotograf z wydziału kryminalistyki KWP zrobił zdjęcie jego twarzy, a następnie zainicjowaliśmy jego publikację w lokalnej prasie. Nie było jednak żadnego odzewu w postaci informacji czy zgłoszeń. Sprawa dreptała w miejscu wskutek braku jakiegokolwiek punktu zaczepienia. Zastanawiając się nad tym, doszedłem do wniosku, że być może twarz ze zdjęcia po prostu nie przypomina wystarczająco zmarłego, że trzeba sfotografować ją jeszcze raz z innego ujęcia.

Tak też zrobiono, po czym ponownie opublikowano je już w codziennej prasie ogólnopolskiej. Tym razem nie musieliśmy długo czekać. Po kilku dniach przyjechało do nas polskie małżeństwo mieszkające wówczas w Belgii. Od pewnego czasu poszukiwali oni swojego syna, który niedawno wyjechał do Polski i od tej pory nie dawał znaku życia. Pojechałem z nimi do prosektorium w celu okazania zwłok. W jego trakcie kobieta podeszła bliżej ciała, chwyciła dłoń zmarłego i długo przyglądała się jego palcom.

– Nie jestem pewna, czy to mój syn – powiedziała.

Spojrzałem na nią, niemożliwe, żeby matka nie rozpoznała syna.

– Niech pani będzie spokojna, to na pewno nie on – rozwiąłem jej wątpliwości. Skinęła głową z widoczną ulgą.

A więc dalej stoimy w punkcie wyjścia.

Nie trwało to jednak długo. Cztery dni później zgłosiła się rodzina zaginionego taksówkarza z Wybrzeża. Tym razem rezultat okazania był jednoznaczny – to właśnie on. Wreszcie mogliśmy działać. Pierwsza sprawa to odnalezienie jego samochodu. Dostyc szybko ustalono, iż stoi zaparkowany na jednej z ulic naszego miasta. Podczas oględzin znaleziono w nim urwany element obudowy walizki, który później okazał się znaczącym dowodem wskazującym na sprawcę. Tymczasem szliśmy dalej tropem zabitego taksówkarza. Co robił w naszym mieście, gdzie zamieszkiwał i z kim utrzymywał kontakty. Ponieważ nie miał tu rodziny, pierwsze kroki skierowano do hoteli. Na początek do tego usytuowanego najbliżej zaparkowanego samochodu. I od razu trafiamy w dziesiątkę. Z rejestrów gości wynikało, że spędził w nim kilka dni. Jednak nikt inny z nim nie mieszkał. Na wszelki wypadek sprawdzamy też, czy nie korzystał czasem z telefonu hotelowego. O dziwo, znowu trafiamy. Jeden raz z tego pokoju łączono się z pewnym numerem w Sopocie. Sprawdzamy billing jego aparatu komórkowego – nigdy pod ten numer nie dzwonił, a na dodatek szereg dni przed ujawnieniem zbrodni nie wykonywano z niego w ogóle żadnych połączeń. Ruszamy więc tropem numeru sopockiego, ustalamy abonenta i jedziemy na Wybrzeże.

Posiadaczką numeru okazała się młoda dziewczyna mieszkająca razem z koleżanką po fachu. Uprawiały najstarszy zawód świata. Podczas rozmowy zaczęły kręcić, zastaniać się niepamięcią, twierdzić, że znają wielu mężczyzn i nie kojarzą, kto mógł wtedy dzwonić... W tej sytuacji zmieniamy ton rozmowy i zaczynamy traktować je jako osoby zamieszane w zabójstwo, informując przy tym, że zostaną osadzone w areszcie.

Szybko spanikowały, zrozumiały, że sprawa jest poważna i zaczęły opowiadać o znajomym Arabie, który często korzystał z ich usług.

Był to Kuwejczyk o imieniu Jusup. W pewnym momencie pomiędzy nim a innym Arabem pochodzącym z Libii powstał konflikt na tle zazdrości o jedną z tych panienek. Rozwścieczony Jusup pojechał taksówką do naszego miasta, gdzie jego konkurent miał zamieszkiwać w internacie jednej ze szkół średnich. Nie znalazł go jednak i telefonował w tej sprawie do nich z hotelu.

Wiemy już wystarczająco dużo, aby zarządzić poszukiwania Jusupa, chociaż na razie są to wszystko jednak tylko poszlaki. Nie trwało to długo, bo już po kilkunastu dniach uliczny patrol legitymuje go i zatrzymuje przed jednym hoteli Trójmiasta. Przeszukując jego pokój hotelowy, natrafiamy na walizkę z urwanym elementem obudowy, który wcześniej znaleziono w taksówce ofiary. To jeszcze bardziej wiąże go z zabójstwem. Nie ma już wątpliwości. Rozpoczynamy przesłuchanie i od razu powstaje problem – Jusup dobrze mówi i rozumiał po polsku, ale nie chciał składać w tym języku wyjaśnień. Nie chciał też po angielsku – tylko po arabsku. W końcu znajdujemy tłumacza pochodzenia syryjskiego – doktoranta Uniwersytetu Przyrodniczego. Przesłuchanie rusza. W wyjaśnieniach potwierdza, że w Trójmieście wziął taksówkę i pojechał nią do naszego miasta szukać swojego konkurenta z Libii. Razem z taksówkarzem zamieszkali w hotelu, ale Libijczyka nie mógł znaleźć i pobyt się przedłużył. Tymczasem zniecierpliwiony taksówkarz zażądał powrotu do Trójmiasta. Jusup nie chciał, pokłócili się, w końcu nie miał innego wyjścia, zgodził się i ruszyli w drogę. Po kilkunastu kilometrach, gdy byli z dala od zabudowań, nagle, pod pretekstem załatwienia potrzeby fizjologicznej, poprosił kierowcę, aby się zatrzymał. Gdy obaj wysiedli, zaatakował go nożem. Taksówkarz próbował jeszcze uciekać, ale Jusup dogonił go i zadał serię ciosów. Następnie wsiadł do taksówki i pojechał z powrotem szukać konkurenta.

## SPISEK

Majowy świt w małej miejscowości letniskowej położonej nad pięknym jeziorem. Kobieta sprzątająca teren znanej w okolicy firmy zauważyła, że wycieraczka leżąca przed drzwiami wejściowymi do budynku jest nienaturalnie wygięta, jakby coś się pod nią dostało. Zgląda więc pod nią i widzi metalowe pudełko z wystającym na zewnątrz kabełkiem. Coś ją tknęło – to nie mogło tu się dostać przypadkowo. Kto więc i dlaczego je tu położył? W jakim celu? Zdenerwowała się, bała się tego dotknąć. Postanowiła niezwłocznie zawiadomić właściciela firmy, Krzysztofa S., a ten natychmiast zadzwonił do nas.

Prowadzony przez niego biznes od kilku lat rozwijał się pomyślnie, przynosząc coraz wyższe dochody. Zarabiane pieniądze inwestował w kolejne przedsięwzięcia, w tym między innymi w popularny lokal gastronomiczny i ośrodek wypoczynkowy.

Od początku założono, że metalowe pudełko może zawierać materiał wybuchowy, dlatego też tajemniczy przedmiot ostrożnie zabezpieczono i przekazano do specjalistycznych badań. Grupa oględzinowa pomimo wielogodzinnej pracy nie zdołała jednak ujawnić śladów pomocnych w zidentyfikowaniu osoby, która mogła umieścić go pod wycieraczką. Tymczasem rezultaty badań potwierdziły, iż zawarty w pudełku ładunek przygotowany był do zdalnego odpalenia. Umieszczenie go pod wycieraczką jasno wskazywało, że jego celem miał być człowiek, a nie budynek. Dlatego, aby móc szukać sprawcy niedoszłego zamachu, należało w pierwszej kolejności ustalić jego niedoszłą ofiarę. Szybko okazało się, że poza sprzątaczką, której ingerencji sprawca najwyraźniej nie przewidział, w grę wchodziła praktycznie tylko jedna osoba – właściciel firmy, który zjawiał się zawsze wcześniej niż jego pracownicy. Kolejnym krokiem zbliżającym nas do zamachowca było

znalezienie motywu jego działania. To już znacznie ograniczyłoby krąg osób podejrzewanych. Rozpoczęły się więc intensywne przesłuchania pracowników przede wszystkim prowadzone tak, by zbadać relacje pomiędzy szefem a poszczególnymi jego podwładnymi.

Najbardziej jednak „maglowano” samego Krzysztofa S. pod kątem ewentualnych konfliktów z konkurencją i zaległości finansowych względem kontrahentów i innych osób. W pewnym momencie na plan pierwszy zaczął się jednak nieoczekiwanie wysuwać wątek osobisty. Okazało się, że jego małżeństwo z Marią S. od pewnego czasu przeżywało poważny kryzys i faktycznie było już na etapie separacji i planowania rozwodu. Konflikt miał silne podłoże emocjonalne, małżonka zarzucała mu liczne zdrady i, zdaniem Krzysztofa S., to właśnie mogło doprowadzić ją do nieobliczalnych zachowań.

Pomimo iż mieszkali już osobno i rozwód był nieuchronny, najbardziej bolała ją jednak perspektywa utraty dotychczasowego statusu materialnego. Krzysztof S. nie zgadzał się bowiem na podział majątku i, wykorzystując kruczki prawne, oferował jej jedynie nieznaczną jego część. W rozmowach wielokrotnie sugerowała, że „on tego pożałuje”. Ale czy stać było ją na aż tak bezwzględne działanie? Tego nie był zupełnie pewien. Poza tym konstrukcja podłożonego ładunku wskazywała na osobę znajdującą się na rzeczy. Tego ona nie zrobiła.

Szybkie sprawdzenia wykazały, że Maria S. mieszkała sama w wynajętym mieszkaniu na dużym osiedlu sąsiedniego miasta. Nikt nie mógł potwierdzić jej alibi, ale też nie zdołano podważyć twierdzenia, że nie opuszczała miejsca zamieszkania. Wprawdzie mogła to zadanie komuś zlecić, lecz brakowało wystarczająco miarodajnych ustaleń o jej kontaktach, a ona sama też ich nie ujawniała, przedstawiając się w trakcie przesłuchań jako osoba samotna, skrzywdzona przez męża i będąca w trudnej sytuacji życiowej. Trudno było zresztą wykazać, że było inaczej. Jednakże, mimo że nie uzyskano żadnych dowodów czy informacji

potwierdzających ten kierunek szukania sprawcy, nadal pozostawało to jedyną wersją łączącą się z wyraźnym motywem.

Trzeba było się jednak też liczyć z tym, że Krzysztof S. mógł coś przed nami zataić, coś, czego nie powinniśmy, jego zdaniem, wiedzieć, ale co mogło w efekcie kosztować go życie. Sprawa powoli zmierzała do umorzenia.

Dwa miesiące później, w godzinach przedpołudniowych Krzysztof S. podjechał swoim samochodem pod budynek firmy. W momencie gdy z niego wysiadał, ciszę rozdarła silna eksplozja. Wybuchł ładunek przytwierdzony do roweru postawionego obok zajmowanego przez niego miejsca parkingowego. Miał jednak szczęście – karoseria samochodu zasłoniła go przed siłą detonacji i wyszedł z tego bez istotnych obrażeń. Nie było jednak wątpliwości, że ktoś nadal konsekwentnie dąży do jego unicestwienia. Kto i kiedy postawił rower tuż przy miejscu, gdzie on zwykle parkował – tego znów nie zdołano ustalić. Nie było też jakichkolwiek nowych sugestii co do motywu. Badania biegłych wykazały, że ładunek był zdalnie sterowany. A zatem ktoś czekał, aż zaparkuje i opuści pojazd, aby w tym momencie uruchomić detonator. Sposób i cel działania potwierdzały więc, że mamy do czynienia z tym samym sprawcą. Kimś, kto dobrze zna zwyczaje swojej potencjalnej ofiary, tak jakby był wciąż blisko niej. Intensywne sprawdzenia kontaktów Marii S. nadal nie dawały podstaw do skonkretyzowania skierowanych na nią podejrzeń. Nie było też informacji ze świata przestępczego. A może myliliśmy się co do motywu... Może go nie znamy i dlatego błądzimy po omacku?

Zagrożenie życia Krzysztofa S. było jednak wciąż aktualne, a nam coraz bardziej w oczy zaczęła zaglądać obawa przed odpowiedzialnością za jego życie, gdyby kolejny zamach się powiódł. Utrzymywaliśmy więc z nim stały kontakt, instruując go, na co ma zwracać uwagę i jak postępować w razie pojawienia się jakiegokolwiek podejrzanego sytuacji.

Pewnego październikowego dnia sam przyszedł do nas, informując, iż żona telefonicznie poprosiła go o spotkanie w przydrożnym

zajeździe położonym około dziesięciu kilometrów za miastem. Celem ich rozmowy miało być uzgodnienie menu i zamówienie w tym lokalu przyjęcia weselnego ich córki. Krzysztof S. obawiał się jednak, że może wiązać się z tym jakiś podstęp z jej strony, coś, co zagrozi jego życiu. Nie mogliśmy ryzykować. Zdecydowaliśmy, że na miejsce spotkania pojedą cywilnym, nierzucającym się w oczy wozem policjanci operacyjni, którzy będą obserwować jego przebieg oraz nagrywać rozmowę małżonków, podczas której Krzysztof S. spróbuje sprowokować żonę do bardziej szczerych i emocjonalnych wypowiedzi.

W dniu spotkania, wyposażony w odpowiedni sprzęt nasłuchowy, pojechał swoim samochodem do wskazanego zajazdu. Policjanci udali się tam już wcześniej i czekali w samochodzie typu van stojącym w pobliżu lokalu. Maria S. podjechała tam jeszcze przed przybyciem męża. Gdy ten się zjawił i poszli do zajazdu, okazało się, że niczego w nim nie załatwią, bo jest on zamknięty w związku z pracami remontowymi. W tej sytuacji zaproponowała, żeby porozmawiać w jego samochodzie. Usiedli obok siebie na przednich siedzeniach. Początkowo spokojna wymiana zdań stopniowo stawała się coraz bardziej emocjonalna. Siedzący kilkanaście metrów dalej funkcjonariusze nagrywali ją, licząc, że Maria S. powie coś, co pozwoli potwierdzić jej związek z próbami zabicia męża.

W pewnym momencie w słuchawkach kilkakrotnie zagrzmiało, dlatego słuchający zerwał je z uszu i oszołomiony wybiegł na parking. Coś się stało. Ktoś strzelał. Zobaczył szybko odjeżdżającego motocyklistę, kierującego się w stronę wyjazdu na przebiegającą obok szosę. Kątem oka zauważył, że Krzysztof S. siedzi pochylony nieruchomo w samochodzie, ale obok niego nie widać było żony. Nie wahając się ani chwili, wyjął pistolet i oddał kilka strzałów do pędzącego motocyklisty. Ten jednak ostro skręcił na drogę i zniknął pomiędzy drzewami. W tym czasie pozostali dwaj policjanci dobiegli do pojazdu Krzysztofa S. Był zakrwawiony. Miał kilka ran postrzałowych i nie dawał już znaku życia. Jego żona klęczała skulona obok pojazdu. Była zszokowana, ale nie odniosła



żadnych obrażeń. Wyciągnięta stamtąd chaotycznie opowiadała, że w trakcie rozmowy do samochodu nagle podjechał motocyklista, który z bliska kilkakrotnie do niego strzelił. Nie potrafiła podać jego rysopisu, bo miał na głowie kask, a poza tym przerażona skuliła się pod deską rozdzielczą, choć była pewna, że i tam zaraz kule ją dosięgną.

Uruchomiony natychmiast przez oficera dyżurnego komendy wojewódzkiej pościg za uciekającym motocyklistą, pomimo ustawionych blokad i kontroli, nie przyniósł spodziewanych rezultatów. Sprawca zabójstwa przepadł gdzieś w płątanie lokalnych dróg albo po prostu porzucił motor i stał się niemożliwy do zidentyfikowania.

Krzysztof S., trafiony z bliskiej odległości sześcioma pociskami, zginął na miejscu. Kolejny raz trzeba było więc przeanalizować rolę, jaką mogła odegrać w tym jego żona. Tym razem było kilka pytań, na które nie potrafiła znaleźć przekonujących odpowiedzi: skąd sprawca wiedział o czasie i miejscu ich spotkania, bo przecież nie znalazł się tam przypadkowo, albo dlaczego, oddając do jej męża sześć strzałów z odległości około metra, ani razu nie próbował strzelić w jej kierunku, chociaż była łatwym i praktycznie unieruchomionym celem? Decydujące okazało się jednak to, że na jej odzieży nie znaleziono ani drobinki krwi męża, pomimo iż siedzenie pasażera, które wówczas miała zajmować, zbryzgane było wyrwanymi przez kule krwawymi fragmentami tkanek jego ciała. Gdyby zatem zdążyła, jak twierdzi, wcisnąć się pod deskę rozdzielczą, z pewnością byłaby też nimi opryskana. Czyli... w momencie rozpoczęcia strzelaniny nie było jej już w samochodzie. Ponowne przesłuchanie taśmy z nagraniem rozmowy wykazało ponadto, że nie słychać na nim charakterystycznego szcęknięcia otwieranych drzwi, a zatem, już wsiadając, pozostawiła je otwarte, aby w odpowiedniej chwili szybko wyskoczyć na zewnątrz. Wiedziała więc, co nastąpi i, rozmawiając z mężem, czekała tylko na moment ataku. To przesądziło o celowości zastosowania wobec niej tymczasowego aresztowania.

Wciąż jednak byliśmy na początku drogi. Bardzo ciążył nam fakt, że mimo starań nie zdołaliśmy uchronić życia ofiary, mimo iż nasi koledzy byli w pobliżu. Ale też niezwykle nas to mobilizowało. Pierwszym kierunkiem było poszukiwanie motocykla, którym posłużył się zabójca. Sprawdzano przypadki zaistniałych w ostatnim czasie kradzieży takich pojazdów oraz środowiska ich posiadaczy i handlarzy tym sprzętem. Analizowano i sprawdzano wiele, pozornie nic nieznaczących informacji.

W pewnym momencie jedna z nich zwróciła naszą uwagę na młodego mężczyznę, Kamila G., pochodzącego z miasta odległego ponad sto kilometrów od miejsca zbrodni. Potraktowaliśmy ją bardzo poważnie. Krok po kroku sprawdzaliśmy, kim on jest, gdzie mieszka, gdzie pracuje, jaki tryb życia prowadzi, czy był już notowany i tak dalej. Wiedzieliśmy już o nim dużo, ale wciąż nie mieliśmy żadnych dowodów, że to on strzelał przed zajazdem. W końcu podjęto decyzję – wysłana grupa dokonała zaskakującego zatrzymania, prosto z ulicy do samochodu i od razu ponadstukilometrowa, dwugodzinna jazda do komendy. W trasie nikt z nim nie rozmawiał, żeby się nie łudził, że za mało wiemy. Po przybyciu na miejsce od razu przesłuchanie rozpoczynające się pytaniami: „Dlaczego to zrobiłeś, gdzie masz broń?”.

\*

Wiedzieliśmy, że druga nasza ekipa nie znalazła jej w jego miejscu zamieszkania. Był już jednak załamany – nagłe zatrzymanie i ostre traktowanie zrobiły swoje. Nie opierał się długo i w końcu zaczął opowiadać, jak to zrobił.

Okazało się, iż zlecenie dokonania zabójstwa dostał od znajomego, któremu żalił się na swoje problemy finansowe. Tym znajomym był Piotr H. – znany nam złodziej samochodowy, który obiecał mu za wykonanie zlecenia trzy tysiące złotych. To wydawał się szybki i stosunkowo łatwy zarobek. Zgodził się. Pewnego dnia Piotr ponownie nawiązał z nim kontakt, przekazując mu informacje o czasie i miejscu spotkania małżeństwa S. oraz dostarczył

załadowany pistolet TT. Krótco potem Kamil skradł motocykl i wskazanego dnia pojechał nim pod zajazd, w którym mieli się spotkać małżonkowie. Tam czekał na parkingu, aż podjechał samochód mężczyzny, którego miał zabić. Wsiadła jednak do niego kobieta i zaczęli rozmawiać. Czekał, aż ona wyjdzie, ale czas płynął, a rozmowa przeciągała się. W końcu zaczął się obawiać, że mogą razem odjechać i nie zdoła wykonać zlecenia. Taka okazja mogła się już nie powtórzyć, a on pilnie potrzebował pieniędzy. A więc teraz albo nigdy! Uruchomił silnik i podjechał motorem pod okno samochodu od strony kierowcy. Bez zastanowienia wyjął pistolet i oddał kilka strzałów do siedzącego w nim mężczyzny. Usłyszał krzyk kobiety, która wyskoczyła z pojazdu. Tamten nie mógł przeżyć. Schował broń i natychmiast ostro ruszył w kierunku wyjazdu na szosę. Oglądając się za siebie, zobaczył nagle biegnącego za nim mężczyznę. Skręcając na drogę, usłyszał serię strzałów. Na szczęście były niecelne. Był zaskoczony. Kto mógł do niego strzelać? Jeśli to policjant, to skąd tu się nagle znalazł? To znaczyło też, że za chwilę zacznie się pościg, a więc trzeba szybko zniknąć z drogi. Po przejechaniu kilku kilometrów skręcił więc w leśny dukt i znacznie oddalił się od szosy. Wreszcie stanął, po czym, używając paliwa z baku, podpalił motor, aby nie zostawić żadnych swoich śladów umożliwiających identyfikację. Do ognia wrzucił też kask i niektóre elementy stroju motocyklisty.

Potem zadzwonił do Piotra H., poinformował go o wykonaniu zlecenia i umówili się, że tamten zabierze go z szosy samochodem. Wszystko poszło sprawnie i zgodnie z planem. Czuł satysfakcję, że tak dobrze sprawdził się w nowej roli „cyngla”. To mu odpowiadało – adrenalina i szybkie pieniądze. Piotrowi oddał pistolet, a ten podwiózł go na stację kolejową, skąd spokojnie odjechał do domu. Początkowo interesował się doniesieniami mediów o zabójstwie, potem jednak wszystko przycichło i z biegiem dni przestał się tym przejmować, uznając, że jest już praktycznie „po sprawie” i nikt nie jest w stanie go powiązać z tym zdarzeniem. Dlatego właśnie nagłe zatrzymanie wprost z ulicy zszokowało go i zrozumiał, że

z niewiadomych powodów wszystko wyszło na jaw.

Mieliśmy więc aresztowane dwie osoby – jedna miała motyw do zlecenia zabójstwa, a druga je wykonała. Obie były z nim związane, nie było jednak pomiędzy nimi żadnych bezpośrednich więzi, nawet się nie znali. Zdawaliśmy sobie sprawę, że czeka nas jeszcze długa droga do odkrycia całej prawdy o mechanizmie tej zbrodni.

Kolejnym kluczem do tego był teraz Piotr H. – przebiegły przestępca karany za kradzieże samochodowe, który choć „przechodził” nam w wielu innych sprawach, to często udawało mu się unikać odpowiedzialności karnej. Podjęte niezwłocznie próby ustalenia jego obecnego miejsca pobytu nie przynosiły jednak rezultatów. Najwidoczniej dowiedział się o aresztowaniu Kamila i nie czekał już, kiedy zapukamy do jego drzwi, tylko schował się gdzieś, aby przeczekać nasze poszukiwania. Po niedługim czasie wpłynęła wiadomość, że mieszka w hotelu w niewielkiej miejscowości na terenie Słowacji. Porozumieliśmy się z policją słowacką, która pod jakimś pretekstem zatrzymała go i przewiozła do przejścia granicznego z Polską, a tam go nam przekazała. Więc zanim dotarł do komendy, miał sporo czasu na przemyślenie swojej taktyki obronnej. Podczas przesłuchań nie przyznawał się do niczego, zaprzeczając obciążającym go wyjaśnieniom Kamila, które, jak stwierdzał, zostały przez tamtego wymyślane wyłącznie po to, aby ukryć innego współnika. Nie mógł jednak zaprzeczyć temu, że Kamil telefonował do niego kilka minut po zabójstwie, sprytnie jednak tłumacząc, że tamten prosił go wtedy tylko o podwiezienie na stację kolejową, nic nie mówiąc o zdarzeniu. Aby potwierdzić wyjaśnienia Kamila, należało zatem dalej szukać innych punktów łączących Piotra z tą zbrodnią. Był to już trzeci aresztowany w tej sprawie, a nadal brakowało nam ogniwa łączącego jego i Kamila z Marią S.

Nie znaleziono też żadnych połączeń telefonicznych Piotra z Marią. Zaczęliśmy więc szukać w połączeniach ich wspólnych znajomych. Wtedy ktoś wpadł na pomysł, aby prześledzić tylko połączenia wychodzące od Piotra H. bezpośrednio po jego rozmowie z Kamilem informującej o wykonaniu zlecenia. Przecież Piotr musiał tę

wiadomość komuś dość pilnie przekazać. Szybko natrafiamy na Jerzego U. Ma on w swoim billingu wiele połączeń z Marią. Wszystko zaczyna się układać. Wreszcie jest więc przejście od Marii do Kamila.

Gdy zaczęliśmy się interesować tą nową w sprawie postacią, spotkała nas spora niespodzianka – Jerzy U. to policjant z komisariatu mającego swoją siedzibę w pobliżu obecnego miejsca zamieszkania Marii S. Był jej przyjacielem, a nawet więcej niż przyjacielem. Często się widywali i zapewne łączyło ich uczucie, lecz każde z nich widziało też w tym swój interes. Opuszczona Maria potrzebowała kogoś, kto pomoże usunąć byłego męża i, gdy ona przejmie firmę, zajmie też jego miejsce. Jerzy liczył na znaczącą poprawę statusu materialnego u jej boku.

Mający kiepską opinię u przełożonych i przebywający na długotrwałym zwolnieniu lekarskim policjant po zatrzymaniu zapierał się, że nie ma jakiegokolwiek związku ze sprawą.

Owszem, Maria S. wielokrotnie zwierzała mu się na temat byłego męża, twierdząc, iż obawia się o swoje życie, on jednak proponował jej, aby zgłosiła się z tą sprawą na policję. Piotra H. zna natomiast od dłuższego czasu i sporadycznie kontaktują się telefonicznie, ale nie pamięta, o czym ostatnio rozmawiali, chyba o jakimś meczu.

Tymczasem Maria S., zapoznana z treścią wyjaśnień zabójcy, rozumiała, że nie da się do końca utrzymać swojej pierwotnej wersji wydarzeń, i przyznała, że wiedziała, iż ktoś ma zabić jej męża na parkingu przed zajazdem. Umówiła się tam z Krzysztofem, ponieważ wiedziała, iż lokal jest nieczynny, więc i parking przed nim będzie pusty. Wiedziała też, że morderca podjedzie na motocyklu i wtedy ona ma uciec z wozu. O tym wszystkim powiedział jej Jerzy U., który wcześniej obiecał jej, że obroni ją przed mężem.

Nagle, gdy wydawało się, że wszystko jest już „poukładane”, otrzymujemy z aresztu wiadomość, iż Kamil G. pilnie prosi o ponowne przesłuchanie go przez prokuratora. Przypuszczaliśmy, że będzie chciał coś zmieniać w złożonych wcześniej wyjaśnieniach, a więc w porozumieniu z prokuratorem, w pokoju, gdzie miał być przesłuchany, ustawiono kamerę, która zarejestruje przebieg tej

czynności. Technik nadzorujący jej działanie „przypadkowo” uruchomił ją, gdy aresztant zasiadł przed prokuratorem, po czym przykrył czerwoną diodę sygnalizującą nagrywanie, nie zasłaniając jednak obiektywu. Prokurator rozpoczął wstępną rozmowę poprzedzającą sporządzanie protokołu, w trakcie której Kamil oświadczył, że chce zmienić treść swoich wyjaśnień dotyczących roli, jaką odegrał Piotr H. Zamierza powiedzieć, że Piotr nie miał z tym żadnego związku, a on go tylko bezpodstawnie pomawiał. Zapytany przez prokuratora o przyczynę tej zmiany, stwierdził, że jest do tego zmuszony, ponieważ boi się zemsty Piotra, który przekazuje mu groźby poprzez innych aresztantów. Krótco potem zaczęło się formalne przesłuchanie już oficjalnie rejestrowane, w którego protokole Kamil nie wspomniał ani słowa o rzeczywistym motywie zmian. Stwierdził, że odwołuje poprzednie wyjaśnienia dotyczące Piotra H., ponieważ zlecenie zabójstwa i broń otrzymał od kogoś innego. Podał tylko imię i ogólnikowy rysopis tej osoby, zaznaczając, iż poznał ją przypadkowo i nic więcej nie wie.

Podczas późniejszej rozprawy sądowej okazało się jednak, że odtworzenie zapisu tego przesłuchania nie będzie konieczne. Sąd bowiem uznał za wiarygodną tylko pierwszą wersję wyjaśnień Kamila, która korelowała z całością zabranego w sprawie materiału dowodowego. Nieomal równie surowo potraktował Kamila G., jak i Jerzego U. Wysokie wyroki dostali jednak także Piotr H. i Maria S.

To od niej wszystko się zaczęło. Nie udało się tylko ustalić, kto podkładał ładunki wybuchowe, które miały przedtem zabić, a może tylko zastraszyć Krzysztofa S.

## BIEGŁY

Mój kolega zza biurka – Janek – doświadczony policjant, prowadził sprawę, w której decydujące znaczenie dowodowe miała mieć opinia biegłego Bogdana M. Badając przekazane mu materiały, biegły wielokrotnie zgłaszał jednak potrzebę uzupełnienia ich o dodatkowe szczegóły. Aby załatwić to jednorazowo, Janek zaprosił go pewnego dnia na kilka godzin do komendy, gdzie mogli wspólnie spokojnie nad tym popracować. Był to piątek. Usiedli przy biurku, popijając kawę, przeglądając akta i powoli wyjaśniając wszelkie wątpliwości. Było tego sporo, więc czas im płynął bardzo szybko. Formalne godziny urzędowania dawno już minęły, budynek opustoszał i niepostrzeżenie nastał wieczór. Jasiu pierwszy poczuł głód i zaproponował, że przyniesie coś do zjedzenia z pobliskiego pubu, a Bogdan w tym czasie przeanalizuje pozostałe dokumenty. Wychodząc z pokoju, przekręcił klucz w zamku, aby jakiś policjant przechodzący przypadkowo korytarzem, nie zdziwił się, że ktoś obcy przebywa sam w pomieszczeniach komendy. Po wyjściu z budynku skierował się w stronę pubu, aby kupić jakiś obiad.

Wchodząc do środka, zderzył się z wychodzącym stamtąd rostrym mężczyzną, którym okazał się Irek, jego były kolega z ławy szkolnej.

– Usiądźmy razem na chwilę, pogadajmy – zaproponował, wiedząc, iż nie musi się spieszyć, bo biegły ma jeszcze sporo do czytania. Po kilkunastu minutach wspomnień Irek zamówił dwa drinki. Janek oponował, ale kelner już odszedł, więc pomyślał, że w gruncie rzeczy może go to nawet podbuduje, bo czuł się już znużony wielogodzinną pracą. Rozmowa rozwijała się i w jej ferworze nawet nie zauważył, kiedy wypili następne. Potem poczuł się jeszcze bardziej zmęczony, szumiało mu w głowie i pomyślał o powrocie do domu.

– Odwiozę cię taksówką – zaoferował Irek, zatelefonował i niedługo odjechali w kierunku miejsca zamieszkania. Po wejściu do

domu, Janek bez słowa położył się na tapczanie i zasnął. Żona przykryła go kocem.

Tymczasem czas płynął. Bogdan zmęczony odłożył akta i zaczął się niecierpliwic. Był bardzo głodny. Sięgnął po telefon, aby ściągnąć Janka, ale aparat się już wyłączył wskutek rozładowania. Na biurku stał wprawdzie telefon służbowy, lecz wszystkie próby wybrania numeru kończyły się fiaskiem. Nie znał zestawu cyfr umożliwiającego połączenia z siecią miejską ani wewnętrznych numerów służbowych, więc aparat był dla niego bezużyteczny. W końcu desperacko spróbował sforsować zamknięte drzwi siłą, ale nie ustępowały. Walił w nie, krzycząc z nadzieją, że go ktoś w końcu usłyszy. Odpowiadała mu tylko cisza. Przez okno z wysokości drugiego piętra widział podwórze komendy, ale nikogo tam nie było.

Dłuższy czas wpatrywał się w nie z nadzieją, że ktoś jednak będzie przechodził. W końcu zrezygnował.

Zrozumiał, iż coś musiało się stać Jankowi. Zapadła noc. Postanowił uzbroić się w cierpliwość. W końcu położył się na biurku i próbował drzemać. Zmęczenie zrobiło swoje i kilkakrotnie zapadał w krótki sen, z którego budził się obolały z niewygody. Nad ranem poczuł w gardle niewyobrażalne pragnienie. Nie pił przecież niczego już od prawie dwunastu godzin, a nie jadł jeszcze dłużej. Wstawał świt, ale Bogdan uświadomił sobie, że jest to sobota i nikt go stamtąd nie uwolni. Przejrzał biurko w poszukiwaniu czegokolwiek do picia. Był zdecydowany spożyć nawet resztki niedopitych napojów, gdyby je tylko znalazł. Nic jednak nie było. Zaczął się zastanawiać, jak wytrzyma do poniedziałku i ile dni można w ogóle wytrzymać bez płynów.

W pewnym momencie jego wzrok padł na stojącą na parapecie doniczkę z kwiatami. Na jej podstawie zebrało się trochę żółtawej wody przesączonej przez ziemię po ostatnim podlaniu. Nie zastanawiał się ani chwili – natychmiast przelał ją do pustej szklanki po herbacie, nieudolnie próbując powstrzymać przepływ czarnych drobinek ziemi. Zebrało się tego około trzeciej części szklanki. Wypił to jednym haustem, starając się nie myśleć o smaku i prawie



rozkoszując się orzeźwiającym chłodem płynu.

Jaka ulga. Ale co będzie dalej? Poczł przyptłw energii, podszedł do drzwi i znowu zaczął walić w nie pięściami. Łomot był tak donośny, że wydawało mu się, że od tego hałasu wszystko drży. Przestał... i znowu nic, tylko cisza. Wrócił na krzesło. Nieprzespana noc powoli dawała znać o sobie.

„To musiał być wypadek” – pomyślał o Jasiu. „Pewnie jest nieprzytomny, oby tylko przeżył”.

Zmęczenie wracało falami i po chwili zapadł w niespokojny sen.

Po jakimś czasie usłyszał zgrzyt klucza w zamku. To tylko sen – przemknęło mu przez głowę. Wydawało mu się, że wchodzi Janek i próbuje go budzić. Otworzył oczy, rzeczywiście to był on, jakiś przestraszony i spokorniały.

– Jak chcesz, to mnie walnij – powiedział.

Bogdan spojrział na niego oszołomiony.

– Przynieś coś do picia – wyszeptał.

## SERIA

Któregoś gorącego sierpniowego dnia przy brzegu podmiejskiego jeziora znaleziono zwłoki dwudziestokilkuletniej Bożeny F. Została uduszona. Podczas oględzin w pobliżu miejsca zdarzenia natrafiono na ślady opon samochodowych. Ich wielkość i rozstaw wskazywały, że mógł je pozostawić samochód dostawczy. Nie było jednak żadnych dowodów ani ustaleń wskazujących na sprawcę zabójstwa. Śledztwo toczyło się powoli, drobiazgowo analizowaliśmy każdy szczegół.

Trzy miesiące później, w innym rejonie, także na terenach podmiejskich natrafiono na polu na ciało uduszonej Krystyny C. W tym przypadku także nie zdołano od razu ustalić mordercy.

Obydwie sprawy toczyły się osobno. Nie było bowiem żadnych elementów pozwalających na ich kojarzenie. Może poza jednym, choć niewiele znaczącym – w sprawie Krystyny przesłuchiwanie świadkowie wspominali o jeżdżącym po okolicy samochodzie dostawczym z napisem Pepsi. Było to bardzo ogólne, niekonkretne, ale nieuchronnie przywoływało skojarzenia ze śladami opon ze sprawy Bożeny.

W pewnym momencie jednak zgłosiła się do nas młoda kobieta, mieszkająca w tej samej okolicy, aby zawiadomić, iż została zgwałcona przez nieznanego mężczyznę o romskim wyglądzie poruszającego się samochodem dostawczym z napisem Pepsi. Kobieta ta nie chciała dalszych kłopotów i dlatego nie żądała ścigania sprawcy gwałtu, pragnęła jednak, żebyśmy wiedzieli o tym zdarzeniu. Osoba tego kierowcy zaczęła nas już mocno intrygować, choć wciąż nie było konkretnych dowodów na jego związek z morderstwami obu dziewczyn.

Los nam sprzyjał, bowiem w trakcie systematycznie prowadzonego rozpoznania wśród osób mieszkających na tym terenie natrafiono na

rozwódkę Joannę G., która podczas rozmowy, opowiadając o swoim byłym mężu, Jakubie G., wspominała o jego brutalnych zachowaniach, napomykając przy okazji, że był kierowcą samochodu dostawczego. Przy okazji też wypłynęły romskie cechy jego wyglądu. Wszystko zaczęło pasować. Wreszcie samochód kojarzył się z konkretnym człowiekiem.

Jakub G. mieszkał wraz ze swoją sympatią i psem na peryferiach miasta. Gdy przyjechaliśmy go zatrzymać, pies rzucił się na nas z furją. Szybko okazało się, że kobieta, z którą mieszkał, posiadała otrzymaną od niego biżuterię zmarłej Bożeny. Teraz już nie mógł się wyślizgnąć. Ostatecznie podczas przesłuchań przyznał się do obydwu zabójstw i został tymczasowo aresztowany.

Tymczasem równolegle toczyła się sprawa zaginięcia taksówkarza, Romana Z., który po pracy nie wrócił do domu. Według zeznań świadków – taksówkarzy stojących na postoju przy dworcu kolejowym – do jego taksówki wsiadł młody człowiek, z którym odjechał w nieustalonym kierunku. Od tej pory nikt go już nie widział. Sprawa poszukiwań zaczęła potem „dreptać w miejscu” – nie znaleziono dotąd nie tylko zaginionego, ale także jego samochodu. Pojawiały się też plotki, że wyjechał za granicę, że widziano go w Niemczech i tak dalej.

Dopiero po kilku miesiącach do jego rodziny przyszedł list z Białegostoku, w którym nadawca, powołując się na fakt zakupu samochodu, zwracał się z prośbą do Romana, aby dostarczył mu jeszcze taksometr, „koguta” i pozostałe oprzyrządowanie taksówki. Okazało się, że list napisał nabywca zaginionego pojazdu. Podczas przesłuchania zeznał, że kupił go na giełdzie w Szczecinie od właściciela. Rzeczywiście na umowie kupna-sprzedaży widniało nazwisko Z., jednak rysopis sprzedającego nie pokrywał się z wyglądem taksówkarza. Przyglądając się podpisowi na umowie, zauważyliśmy jednak, że, co dziwne, zaczynał się on od litery G, a dopiero potem było Z. Ten element w zestawieniu z charakterystycznym cygańskim wyglądem sprzedającego nasunął podejrzenie, że w tę sprawę zamieszany być może przebywający

obecnie w areszcie zabójca dwóch kobiet. Zorganizowano jego okazanie, podczas którego nabywca pojazdu i jego żona jednoznacznie rozpoznali go jako sprzedającego.

W tym stanie rzeczy Jakub G. przyznał się do sprzedaży samochodu, przedstawiając wersję, iż zrobił to na prośbę dwóch nieznanych mu mężczyzn, których przypadkowo poznał w kawiarni. Mężczyźni ci zaproponowali mu, że dostanie tysiąc złotych w zamian za sprzedaż tego samochodu na giełdzie. Ponieważ potrzebował pieniędzy, przystał na to i dokonał transakcji, podając się za Z. W wyjaśnieniach podał też ich rysopisy.

To, co mówił, było dla nas niewiarygodne, dlatego nadal podejmowaliśmy kroki zmierzające do ustalenia całej prawdy. Dokonano jego kolejnego okazania – tym razem taksówkarzom, którzy widzieli mężczyznę wsiadającego na dworcu do taksówki K. Świadkowie rozpoznali G. jako bardzo podobnego do tamtej osoby, ale nie mieli całkowitej pewności, bo widzieli go tylko przez chwilę i z pewnej odległości.

Jednakże załamany tym rozpoznaniem Jakub zmienił jeszcze raz swoje wyjaśnienia, potwierdzając, że istotnie to on wsiadł do taksówki na dworcu i zamówił kurs do swojego miejsca zamieszkania. Gdy dojechali na miejsce, okazało się, że nie ma wystarczającej kwoty, by zapłacić za kurs. Pomędzy nim a taksówkarzem wybuchła najpierw sprzeczka, a potem doszło do bójki, w trakcie której tamten uderzony stracił przytomność. Po chwili okazało się, że nie żyje. Jakub wpadł wtedy w panikę i postanowił ukryć ciało. Ponieważ to był styczeń i ziemia zmarznięta, przyszedł mu do głowy pomysł, aby wrzucić zwłoki do rzeki.

Pojechał samochodem taksówkarza w kierunku Zielonej Góry i dotarł do małej miejscowości nad Odrą, gdzie zatrzymał się na moście i stamtąd wrzucił ciało do rzeki. Gdy wpadło do wody, usłyszał plusk. Następnie pojechał samochodem do Szczecina i tam go sprzedał na giełdzie.

Niewłócznie zwróciliśmy się do komendy w Zielonej Górze

z zapytaniem, czy znaleziono na ich terenie zwłoki odpowiadające rysopisowi taksówkarza. Odpowiedź była negatywna. Nadal więc nie mieliśmy ciała, a cała historia opowiedziana przez G. mogła być tylko zmyśleniem, mającym na celu ukrycie prawdy. Dlatego postanowiliśmy ją zweryfikować szczegół po szczególe.

W sobotni poranek zabraliśmy Jakuba do samochodu i wyruszyliśmy w kierunku Zielonej Góry. Podejrzany nie był skuty kajdankami, a jedynie uprzedzony, że jak chce, to może uciekać, ale na własne ryzyko, bo będziemy strzelać. Sprawiał wrażenie bardzo przestraszonego, był zapewne przekonany, że wykorzystamy każdy pretekst, aby to zrobić. Zachowywał się więc spokojnie, nie stawiając żadnego oporu.

Dojechaliśmy do podanej w jego wyjaśnieniach miejscowości. Faktycznie znajdował się tam opisany przez niego most o specyficznej stalowo-drewnianej konstrukcji. Wskazał na nim, w jakim miejscu wrzucał zwłoki do Odry. Udaliśmy się więc do pobliskiego portu rzecznej, aby dowiedzieć się, czy nie znaleziono tu ciała nieznanego mężczyzny. W porcie przejrzano dokumentację z interesującego nas okresu i stwierdzono, że w tym czasie z uwagi na długotrwałe mrozy rzeka była całkowicie skuta lodem, stąd też zwłoki po prostu nie mogły wpaść do wody. Wściekły spojrzałem na obecnego przy tej rozmowie Jakuba i zimno spytałem: „Słyszałeś plusk, prawda?”. Tamten zmieszał się i po chwili powiedział: „Kłamałem – powiem wszystko”.

Później w rozmowie przyznał, że taksówkarza zabił celowo, działając z zamiarem zabrania samochodu. Chcąc ukryć zwłoki, wjechał pojazdem na pole, które nie było mocno zamrożone i poszedł kilkaset metrów do pobliskiego gospodarstwa pożyć łąpatę, pod pretekstem odkopania ugrzęźniętego samochodu. Gospodarz dał mu łąpatę i nawet oferował swoją pomoc, ale on podziękował, stwierdzając, że sam sobie poradzi. Następnie wykopał na polu dół i zakopał w nim ciało ofiary. Nie zapomniał potem oddać łąpaty i podziękować za pomoc. Oprzyrządowanie taksówki, w tym „koguta”, wrzucił po prostu do pobliskiego przydrożnego rowu

i odjechał.

Niezwłocznie udaliśmy się na to miejsce i rzeczywiście znaleźliśmy w rowie wyrzucone oprzyrządowanie, którym dotąd nikt się nie zainteresował. Na sąsiednim polu nie było jednak żadnych śladów wskazujących na miejsce ukrycia zwłok. Kopanie na oślep było bez sensu. Nadal więc nie mieliśmy zwłok, a tym samym pewności, że podejrzany nic nie ukrywa.

Nadzorujący sprawę prokurator znalazł jednak na to sposób – załatwił z pobliskiej firmy koparkę, która systematycznie przerzucała ziemię, aż do momentu, kiedy natrafiła na zakopane ciało. Dobrze zachowane elementy ubioru pozwoliły na szybkie rozpoznanie zaginionego. Tym samym ostatecznie udowodniliśmy Jakubowi dokonanie trzeciego zabójstwa.

## DŁONIE

Mały sklepik spożywczy usytuowany na parterze wolno stojącego domu jednorodzinnego w niedużym mieście powiatowym. Zwłoki właściciela Edwarda O. leżały za ladą na zalanej krwią podłodze. Widoczne były poważne obrażenia głowy, ale największe wrażenie robiły okaleczone ręce – brakowało w nich dłoni, równo uciętych przy nadgarstku. Pomimo drobiazgowego przeszukania sklepu, domu i całej posesji, nigdzie ich nie odnaleziono. Jeszcze dziwniejsze było to, że ślady wskazywały, iż w momencie odcinania już prawie nie krwawiły, co sugerowało, że zrobiono to dopiero jakiś czas po śmierci. Przyczyną zgonu były wprawdzie obrażenia głowy, ale od początku przyjęto, że kluczem do wykrycia sprawcy będą właśnie te zaginione dłonie. Dlaczego zabójca w ogóle je ucinął? Przecież nie przeszkadzało to w żaden sposób w identyfikacji ofiary. Jakże więc miało to dla niego znaczenie?

Naszą uwagę zwróciły od razu dwa elementy – morderca miał przy sobie nóż, którym mógł to zrobić, a nie każdym by to się sprawnie udało, oraz precyzja cięcia sugerująca, że musiał mieć już w przeszłości praktykę w takim krojeniu.

Przystąpiono do energicznego działania. Początkowo oględziny sklepu, domu i przesłuchania domowników nic istotnego nie wniosły. Gdy jednak rozszerzono zasięg rozpoznania na okolicznych mieszkańców, szybko okazało się, że wieczorem poprzedniego dnia widziano wychodzącego ze sklepu Witolda D., miejscowego rzeźnika, który był tam stałym dostawcą towaru. Rzeźnik... Tak, to bardzo pasowało do fachowo odciętych dłoni, zatem niezwłocznie przywieziono go do komendy. Rozmawiając z nim, zwrócono uwagę na świeże zadrapania na jego twarzy, które nie do końca przekonująco tłumaczył specyfiką swojej pracy. Nie zaprzeczał jednak, że poprzedniego wieczoru był w sklepie Edwarda, aby jak

zwykle uzgodnić harmonogram dostaw mięsa i jego przetworów. Ale gdy stamtąd wychodził, wszystko było w porządku i nie zauważył też w pobliżu żadnych innych osób. Brzmiało to dosyć logicznie, ale... te odcięte dłonie. Za bardzo pasowały do jego fachu. Pierwsza zasada: w takich sprawach nie ma zbiegów okoliczności! I tym trzeba się kierować. A jeżeli są, to tylko jako wyjątki potwierdzające regułę. Ale wtedy to nie wystarczało.

Przesłuchanie więc ciągnęło się godzinami, analizowano wszelkie relacje pomiędzy Witoldem i Edwardem, próbując ustalić jakikolwiek motyw, który mógł doprowadzić do tej tragedii.

Bezskutecznie. Śledztwo tkwiło w impasie, tym bardziej że żadnych innych możliwości na razie nie było. Zaczęły pojawiać się sugestie, iż może jeszcze później przyszedł do sklepiku ktoś inny, ktoś, o kim nic nie wiemy.

Kończyłem właśnie obiad, kiedy w domu zadzwonił telefon.

– Syf – zakląłem, przecież dopiero wróciłem z pracy.

Miałem pojechać na miejsce zdarzenia, aby wesprzeć kolegów, którzy powoli tracili koncepcję, jak rozwiązać tę zagadkę. Siedząc w samochodzie, próbowałem wpaść na jakiś pomysł, ale jeszcze za mało wiedziałem, by móc precyzyjnie analizować sytuację. Skupiłem się więc na odciętych dłoniach, które sprawca ze sobą zabrał. Po co one mogły być potrzebne rzeźnikowi? Czy to miała być jakaś symboliczna zemsta, której motywu po prostu nie znamy? Wiedziałem już, że przeszukanie w jego zakładzie i mieszkaniu nic nie dało. Może je więc zakopał gdzieś na terenie swojej posesji? Irracjonalne, ale niewykluczone – to też trzeba będzie sprawdzić! Tak, ten kierunek, co z nimi zrobić, jest teraz decydujący – uznałem, dojeżdżając już na miejsce.

Witold D. siedział w pokoju przesłuchań zmęczony i otepiaty po kilkugodzinnych rozmowach. Robił wrażenie pozornie obojętnego. Wiedziałem, iż zmęczenie osłabia odporność i czujność na zaskakujące zachowania. Że tak naprawdę może być blisko załamania, chyba że wyczuje naszą bezradność. Z drugiej strony, byłem wkurzony tym zepsutym popołudniem i chciałem zrobić coś



radykalnego, coś, co od razu rozstrzygnie – wóz albo przewóz. Nie zastanawiając się, pełen wewnętrznych emocji, wszedłem energicznym krokiem do pokoju, pochyliłem się nad nim i stanowczym głosem powiedziałem:

– Dosyć tych bezsensownych tłumaczeń, nie mam czasu, zaraz pojedziesz z nami pokazać, gdzie zostawiłeś dłonie!

Liczyłem, że jakoś zareaguje i może ta chwila niekontrolowanej reakcji ustali kierunek dalszego przesłuchania. Stało się jednak inaczej. Wyraz jego twarzy nie zmienił się... Przez dłuższą chwilę Witold nawet nie drgnął. A potem ociężałe podniósł się i ruszył w stronę drzwi.

– Dalej, panowie, jedziemy – rzuciłem kolegom, starannie maskując zaskoczenie.

Zeszliśmy razem do samochodu. Gdy ruszaliśmy, spokojnym głosem wskazał kierunek.

Dojechaliśmy do niewielkiego lasu. Tam poprowadził nas w stronę kępy krzaków. Pod jednym z nich leżał foliowy worek, którego otwór zaciśnięto przez kilkakrotne okręcenie. W środku było sporo krwi i dwie odcięte dłonie.

No, to jesteśmy w domu...

– Co się stało, panie Witoldzie, czemu pan je obciął? – zapytałem. Spojrzał na mnie zamyślony.

– Bo podrapał mi twarz i pod paznokciami mógł mieć drobiny mojej skóry – stwierdził rzeczowo.

Podczas późniejszego przesłuchania już nic nie ukrywał. Przyszedł wieczorem do Edwarda, aby wyegzekwować zapłatę za wcześniejsze dostawy. Sklepiarz zaczął jednak kwestionować jej wysokość i temperatura sporu stopniowo wzrastała.

W pewnym momencie doszło między nimi do szamotaniny, podczas której tamten paznokciami przeorał mu twarz. Tego już było za wiele, Witold w ataku wściekłości zaatakował go pięściami. Edward trafiony ciosami zachwiał się i ciężko zwałił na podłogę, z łoskotem uderzając głową w kant lady chłodniczej, po czym zmarł w bezruchu. Wydawało się, że stracił przytomność, ale gdy nadal

leżał bezwładnie, Witold pochylił się nad nim i zaskoczony stwierdził, że nie żyje.

Natychmiast po tym wyszedł ze sklepu i, jadąc rowerem do domu, zaczął gorączkowo myśleć, co powinien zrobić, aby nikt go z tą śmiercią nie wiązał. Czy nie zostawił jakichś śladów? Palily go zadrapania na twarzy i wtedy przypomniał sobie, że pod paznokciami Edwarda mogły zostać drobiny jego skóry. Zabrał więc z domu nóż do ćwiartowania mięsa i wrócił do sklepu, gdzie wprawnie uciął obie dłonie denata, wrzucając je następnie do znalezionego za ladą foliowego worka. Pojechał z tym do lasu, kilkakrotnie okręcił worek i, nie wchodząc głęboko, zamasyście rzucił nim w gęstą kępę krzaków. Kto ich tam będzie szukał – pomyślał. I miał rację. Ale nie wytrzymał napięcia.

## PIES

Pewnego zimowego dnia wieczorem otrzymaliśmy zgłoszenie o włamaniu do dużego sklepu ze sprzętem elektronicznym i artykułami gospodarstwa domowego. Sygnalizowano znaczne straty, więc niezwłocznie udaliśmy się na miejsce zdarzenia. Sklep położony był w małej, sennej, podmiejskiej miejscowości o charakterze letniskowym. Ściągnęliśmy natychmiast przewodnika z psem tropiącym, który po nawęszaniu śladów sprawcy podjął trop i poprowadził nas w kierunku pobliskiej stacji kolejowej. Stamtąd dość często odjeżdżały pociągi w kierunku sąsiedniego miasta wojewódzkiego. Na tym trop się jednak urywał.

Tymczasem w sklepie rozpoczęto żmudne oględziny i zabezpieczanie śladów. Z uwagi na rozmiary obiektu czynności te przeciągnęły się aż do późnej pory nocnej. W międzyczasie robiliśmy przerwy, a obecna przy tym kierowniczką częstowała nas herbatą. Co dokładnie skradziono i jaka jest ostateczna wysokość powstałych strat, miała ustalić dopiero komisja inwentaryzacyjna. Na tym etapie wprawdzie brakowało danych pozwalających na identyfikację lub choćby typowanie sprawcy, liczyliśmy jednak, że skradziony towar pojawi się wkrótce w drugim obiegu i w ten sposób, prędzej czy później, go namierzemy. Wreszcie, około wpół do drugiej, kończymy. Czas wracać i odpocząć przed następnym dniem.

Rano, ledwo pojawiając się w komendzie, dociera do nas wiadomość o ponownym włamaniu do tego samego sklepu. Dokonano go jeszcze tej samej nocy, gdy już odjechaliliśmy. Pełne zaskoczenie. Tego jeszcze nie grali! To chyba ten sam sprawca wrócił po resztę łupu – snujemy domysły. Teraz nam jednak naprawdę nadepnął na odcisk. Natychmiast tam jedziemy.

Na miejscu działamy niezwykle starannie, krok po kroku. Nagle odkrywamy, że włamania dokonano nie od zewnątrz, a tym razem

sprawca otworzył siłą drzwi od środka. Zapanowała konsternacja, a po chwili na twarzach niektórych z nas zaczęły pojawiać się kpiące uśmiechy.

Z kogo się śmialiśmy? Z siebie samych. Raptem zdaliśmy sobie sprawę, że przez cały czas, kiedy wieczorem prowadziliśmy oględziny, włamywacz był w sklepie razem z nami i nawet pies go nie wyczuł. Wilczur poprowadził nas więc na dworzec kolejowy drogą przyjscia, a nie odejścia sprawcy. W końcu, żeby pokryć kompromitację, zaczęto więc wszystko zwałać na gapiostwo i nieprofesjonalne zachowanie psa. Sfuszerował. Ale nasza żenada też pozostała.

Jakiś czas potem, w trakcie prowadzonego w tej sprawie dochodzenia, wytypowano spośród recydywistów osobę, która mogła dokonać tego włamania. Podczas przeszukania jego mieszkania faktycznie znaleziono niektóre skradzione przedmioty. W tej sytuacji podejrzany nie zaprzeczał już zarzutom i, składając wyjaśnienia, opowiedział, że po dokonaniu włamania, będąc jeszcze w sklepie, usłyszał jakieś głosy na zewnątrz. Wpadł w panikę, ale nie stracił głowy. Niewiele się zastanawiając, w pośpiechu zawinął się w jeden z przeznaczonych do sprzedaży dywanów. Potem przyjechała policja i sądził, że za chwilę zostanie znaleziony przez psa. Bał się, że pies go przy tym zaatakuje i pogryzie, więc myślał już, aby odezwać się do nas ze swojej kryjówki. Przeczekał jednak kilka minut i, słysząc, że pies nie reaguje, dalej leżał nieruchomo. W ten sposób przetrwał całe nasze oględziny, a gdy wyszliśmy i zamknięto sklep, uwolnił się z dywanu i spokojnie przygotował do zabrania interesujące go sprzęty, po czym wyłamał drzwi od wewnątrz i uciekł z łupem.

Zaczeliliśmy rozumieć błąd psa, po prostu dość intensywny zapach nowego dywanu stłumił nieco woń włamywacza. No cóż, ludzie są tylko ludźmi, a pies jest tylko psem.

## ZAGADKA

Był ostatni dzień lipca. Nad miastem przewaliła się burza i ulewny deszcz potokami zalewał ulice, jakby chciał zmyć cały nagromadzony brud, wszystko, co zalegało po długim okresie upałów. Wraciałem właśnie z urlopowego wyjazdu i w duchu cieszyłem się, że pogoda zepsuła się dopiero teraz.

Następnego dnia w pracy od razu wpadłem w wir bieżących wydarzeń. W godzinach przedpołudniowych Jarosław S. powiadomił nas telefonicznie o znalezieniu zwłok swojej trzydziestokilkuletniej żony Krystyny. Znajdowały się one w mieszkaniu wynajętym przez nią w celu prowadzenia działalności gospodarczej. Był to niewielki dwupokojowy lokal w nowym budynku usytuowanym w centrum miasta. Przybyła na miejsce grupa operacyjno-śledcza stwierdziła, że denatka leży na podłodze pokoju z ciężkimi ranami tłuczonymi głowy spowodowanymi uderzeniami tępym narzędziem. Skutkiem obfitego krwawienia liczne ślady krwi znajdowano na podłodze i meblach. Zasinienia i urazy rąk sugerowały, że ofiara usiłowała bronić się i zasłaniać przed zadawanymi ciosami. W jednej dłoni znaleziono i zabezpieczono trzy włosy, które, jak wykazały badania, nie pochodziły od niej, a zatem były to włosy osoby, która ją zaatakowała. Obok ciała ofiary leżało też narzędzie zbrodni – kij bejsbolowy, który podczas zadawania uderzeń połamał się na cztery oddzielne elementy.

Dziwna sprawa – morderca po ataku złożył jednak z powrotem wszystkie jego części, dopasowując je tak dokładnie, iż sprawiały nadal wrażenie jednej całości. Ciosów musiało być wiele i nie uległo wątpliwości, że to one właśnie spowodowały zgon. Przy czym fakt połamania pałki świadczył o sile, z jaką były zadawane. Wyglądało na to, że zabójca z jakiegoś powodu wpadł w furję, ale... przecież przyszedł tam z tą pałką, czyli już od początku zamierzał zabić. To nie

był więc nagły impuls – to furia zabijania z premedytacją. Musiał mieć zatem silny motyw. Mocny dla niego, choć niekoniecznie dla innych. A przy tym dużo zimnej krwi i zaskakującego spokoju. Świadczył o tym nieomal zupełny brak śladów linii papilarnych w mieszkaniu i to w miejscach, gdzie normalnie powinny się znajdować. A więc nie spieszył się... Spokojnie, systematycznie wytarł ślady we wszystkich pomieszczeniach. Przemyślał to wcześniej. I miał czas. Dużo czasu.

Zaczęliśmy, jak zwykle, od motywu, bo tędy najbliżej do sprawcy. Na pierwszy ogień poszedł mąż ofiary. On przecież mógł też wiedzieć, że będzie miał tam sporo czasu. Ale po co miałby wycierać ślady? A może... może właśnie dla zmylenia nas? Badaliśmy relacje pomiędzy nim a żoną. Nie były najlepsze.

Ona w tym związku dominowała, była jakby trochę zbyt niezależna, a nadto swoim zachowaniem dawała niejasne powody do podejrzeń o niewierność. To dość silne podstawy do nagłego wybuchu skrywanych emocji. Mieli jedno dziecko – dwunastoletnią córkę.

Kilka miesięcy wcześniej Krystyna S. wpadła na pomysł prowadzenia działalności polegającej na, nazwijmy to, „wynajmowaniu panów do towarzystwa”. Liczyła na stopniowo rosnące zainteresowanie potencjalnych klientek, a tym samym sukces biznesowy. Do prowadzenia swojej firmy wynajęła mieszkanie, w którym ją potem znaleziono. Na początek dała ogłoszenie w prasie, że poszukuje panów do towarzystwa dla pań. Chętnych nie brakowało. We wskazanych godzinach czekali w kolejce na schodach. Wpuszczała ich do mieszkania tylko pojedynczo, od razu do dużego pokoju i tam przeprowadzała rozmowę. Każdy zainteresowany potencjalnym zatrudnieniem, przed wpisaniem go w listę oczekujących na oferty klientek, musiał wpłacić sto złotych wpisowego. W razie pojawienia się ewentualnego „zapotrzebowania” na jego usługi Iwona S. obiecywała niezwłoczne skontaktowanie go z potencjalną klientką. W tym początkowym okresie działalności firmy dochody płynęły więc głównie od zapisujących się panów, bo zainteresowanie ze

strony pań było znikome.

Trzydziestego pierwszego lipca Krystyna S. jak zwykle udała się do wynajętego mieszkania. Długo nie wracała, co mąż jej początkowo kładł na karb gwałtownie rozwijającej się burzy. Kiedy ta jednak ucichła, a żona nie odpowiadała na telefony, choć numer był wolny, postanowił po nią pojechać. Był już wieczór, kiedy bezskutecznie dobijał się do drzwi zamkniętego mieszkania. Nie miał do niego kluczy. Ostatecznie doszedł do wniosku, że pewnie minęli się po drodze i ona już wraca do domu. Pojechał więc z powrotem, ale tam nadal jej nie było. Rano, zaniepokojony brakiem jakiegokolwiek kontaktu, zabrał córkę i razem ponownie dotarli do jej miejsca pracy. Gdy pomimo dobijania się w dalszym ciągu nikt nie otwierał drzwi, wyłamał je siłą i wszedł do środka. W pokoju, gdzie prowadziła swoje biuro, znalazł jej zwłoki i zawiadomił policję.

Jego zeznania, choć wewnętrznie spójne i zgodne z innymi naszymi ustaleniami, nie zdjęty z niego cienia podejrzeń. Mógł przecież zabić, gdy był tam poprzedniego dnia po burzy. Miał wtedy dużo czasu, aby spokojnie zatrzeć ślady i złożyć połamane części pałki. Negatywne emocje pomiędzy nimi wystarczały, aby zainspirować do wcześniejszego przemyślenia i przygotowania zbrodni. Czy czekał tylko na okazję, aby to zrealizować? Czy nagle pękła w nim jakaś nikomu nieznana granica wytrzymałości i z ustępliwego męża stał się zimnym zabójcą? I ta furia ataku... Dlaczego, jadąc następnego dnia po żonę, zabrał córkę? Czy chciał mieć świadka, że to nie on zaatakował? Wiedział, co razem odkryją? Te pytania musiały znaleźć odpowiedzi, aby można było iść dalej i szukać innych tropów.

To, że mamy wobec niego wątpliwości, powiedziano mu bez ogródek. Nie był zdziwiony. Od razu zgodził się na badanie wariograficzne i przeszedł je bezproblemowo. Tym samym praktycznie wydostał się z kręgu podejrzeń, a dla nas zaczęły się schody. Sprawca musiał mieć motyw. Jaki?

Wśród dokumentów znalezionych na miejscu zdarzenia był także zeszyt zawierający wykaz mężczyzn, którzy wpłacili sto złotych wpisowego i zostali przez Krystynę S. zapisani jako potencjalni

kandydaci „do towarzystwa” dla klientek firmy. Rozpoczęła się żmudna praca, wzywianie ich, przesłuchiwanie, sprawdzanie zeznań i ewentualna eliminacja z grona podejrzanych. Szło to powoli. Mieliśmy świadomość, że każde typowanie będzie można ostatecznie zweryfikować badaniem DNA z włosów znalezionych w dłoni denatki. Badania te, z uwagi na koszty, zarządzano jednak dopiero, gdy istniało wysokie prawdopodobieństwo trafności podejrzeń.

Po kilku miesiącach prowadzenia sprawy kolejne nazwisko z wykazu klientów wzbudziło tym razem nasze większe zainteresowanie. Był to Marcin W., młody, dwudziestokilkuletni mężczyzna, karany w przeszłości za rozboje i niestroniaący od stosowania przemocy. Jego ojciec był znanym lekarzem. Zeznania Marcina w zasadzie nie odbiegały treścią od poprzedników. Poza jednym szczegółem – gdy poproszono go o opis mieszkania, w którym był przyjmowany, zaznaczył, że Krystyna S. po rozmowie kwalifikacyjnej oprowadziła go jeszcze po całym lokalu. Dotychczas wszyscy inni przesłuchiwanie kandydaci twierdzili, iż byli wpuszczani wyłącznie do pokoju, w którym odbywała się rozmowa. Dlaczego więc jego miała potraktować inaczej? Czyżby się obawiał, że jednak gdzieś tam jeszcze zostały jego ślady? Podczas dalszych sprawdzeń ustalono, iż Marcin W. jest zatrudniony w warsztacie, z którego można było w ciągu pięciu minut dotrzeć pieszo do miejsca zabójstwa. Nadto przeprowadzony wywiad ujawnił, że w miejscu pracy posiada on bogatą kolekcję wiszących na ścianie kijów bejsbolowych. Te trzy elementy wzbudziły w nas szczególną czujność. Zbyt dużo tu zaczęło pasować.

Ale potrzebowaliśmy dowodów. A więc włosy! Pobraliśmy je profesjonalnie z jego głowy. Wykonał to ekspert kryminalistyki zgodnie z wymogami procesowymi. „Jest nasz” – pomyślałem o Marcinie. Wynik badania będzie nie do podważenia. Nie zatrzymywaliśmy go mimo podejrzeń, bo wciąż jeszcze nie było formalnego dowodu. Biegły miał pracować kilka dni.

Minął tydzień... dwa... trzy... do licha, przecież to nie może trwać



tak długo. Co się dzieje? I wtedy nagle z zakładu medycyny sądowej przychodzi wiadomość, że kodu DNA sprawcy nie ustalono, bo w trakcie badań wszystkie dowodowe włosy uległy zniszczeniu. Jak to możliwe? Tracimy przecież szansę udowodnienia winy komukolwiek.

Wszystko stanęło. Czy już przegraliśmy? Śledztwo toczy się nadal, ale praktycznie drepczemy w miejscu. Przesłuchania i sprawdzenia kolejnych osób nic nie wnoszą. Uświadamiamy sobie, że sprawca wymyka nam się z rąk. Czy mamy umorzyć sprawę? Powiedzieć, że zrobiliśmy wszystko, co było możliwe?

Długo rozważamy wszystkie możliwości, staramy się wyobrazić sobie punkt widzenia sprawcy, jego ocenę swoich szans, słabych i mocnych stron, czego on nie wie, a czego my. Jak to wykorzystać? Mozolnie tworzymy plan udowodnienia mu winy.

Marcin W. zostaje nagle zatrzymany i dowieziony do komendy. Przystępujemy do przesłuchania. Godzinami uparcie powtarza swoją wersję kontaktów z ofiarą, ale... równocześnie odmawia zgody na poddanie się badaniu wariografem. Twierdzi, że nie ufa temu urządzeniu i obawia się, że jego wskazania będą błędne. To tylko umacnia nasze podejrzenia. Blefujemy więc, iż rezultat badania DNA wskazał, że w dłoni zamordowanej znajdowały się jego włosy. Dziwne... bo nie robi to na nim żadnego wrażenia. Czy niewinny człowiek by się tym nie zdenerwował? Dlaczego go to nie rusza? Gdzieś we mnie odzywa się jakiś alarm – coś tu nie pasuje. Ale co?

Naciskamy na niego dalej. W pewnym momencie, w ogniu pytań, widzimy, że traci pewność siebie. Coś się dzieje. Pęka? Jeszcze nie teraz. Prosi o dziesięciominutową przerwę na zastanowienie. Nad czym? Czy niewinny musi się zastanawiać nad swoją niewinnością? Zgadza się. Prosi też o papier i coś do pisania. Czy chce napisać jakieś oświadczenie?

Zostawiamy go w spokoju w towarzystwie jednego kolegi. Dyskretnie obserwujemy. Myśli, coś zapisuje, rozważa... W końcu to przerywamy – dziesięć minut minęło! Kontynuujemy. Co teraz powie?

Otóż nic nowego. Podtrzymuje dotychczasowe wyjaśnienia. W tej sytuacji sięgamy po te jego zapiski z przerwy. Napisał tam: „Co na mnie mają – śladów nie, włosów nie, świadków nie, a więc nic”.

Czy tak rozważa człowiek niewinny, czy zastanawia się, jakie są dowody, skoro wie, że tego nie zrobił. Czy musi w ogóle myśleć nad taktyką składania zeznań, skoro nie ma z czynem nic wspólnego. A w ogóle to skąd wie, że nie ma żadnych śladów? Chyba że... sam je zacierał. A włosy? Marcin wciąż wypiera się związku ze zbrodnią. Wtedy procesowo zabezpieczamy i włączamy do akt sprawy jego kartkę z zapiskami. To prawie jak przyznanie się.

Nazajutrz prokurator występuje z wnioskiem o tymczasowe aresztowanie go pod zarzutem zabójstwa. Sąd podziela nasze oceny i stosuje sankcję. Sprawa toczy się dalej. Oczekujemy, że prędeż czy później Marcin powie prawdę. Ale ciągle słyszę w sobie ten alarm – coś tu nie gra!

Mijają miesiące. Systematycznie przesłuchujemy podejrzanego, ale nie posuwamy się ani centymetr do przodu.

Prokurator zaczyna wątpić – nie tyle w jego winę, co w szanse uzyskania wyroku skazującego. Nie mamy żadnych decydujących atutów. W końcu nadchodzi dzień, w którym prokuratura rezygnuje i zwalnia Marcina.

Alarm we mnie cichnie. Trzeba było to inaczej poukładać. Już wiem, co przeoczyliśmy. Ale czy mogliśmy to przewidzieć?

## NAJTRUDNIEJSZE

Dzień był zimowy, wietrzny, nieprzyjemny. Na placu targowym niewielkiego miasteczka stał szalet publiczny. Raptem dwie kabiny. W jednej z nich znaleziono ciało martwej ośmioletniej Krysi. Było wciśnięte w otwór sedesu tak, że tylko nogi wystawały na zewnątrz. Po wyciągnięciu jej stamtąd zobaczyłem roztrzaskaną głowę, mózg był częściowo na wierzchu. Ten widok był trudny do wytrzymania. Jej tornister stał przy oknie. Rozpoczęliśmy oględziny. W pewnym momencie Andrzej, mój przełożony, powiedział, że musimy pilnie pojechać do jej rodziców, przesłuchać ich, jeszcze zanim dowiedzą się, co się stało, aby mogli złożyć bez emocji racjonalne zeznanie, które pomogą nam w szukaniu mordercy.

To byli młodzi ludzie. Ich córka zaginęła dzień wcześniej i wciąż mieli nadzieję, że do nich wróci. Przedstawiamy się, mówiąc, że prowadzimy sprawę zaginięcia dziecka. Siadamy przy stole i rozpoczynamy przesłuchanie. Trzeba było uzyskać od nich maksimum informacji o dziecku, jego zwyczajach, kontaktach i wszystkich tych okolicznościach, które mogą naprowadzić nas na osobę sprawcy, jeszcze zanim się dowiedzą, i ogarnie ich rozpacz. Rozmawiamy z nimi bardzo spokojnie, o wszystkim, także o tym, czy nie było jakichś konfliktów w rodzinie. Bo wszystko teraz może być ważne. Obserwujemy, jak o niej opowiadają, jakie były relacje rodzinne, uczuciowe. Piszę protokół i w pewnym momencie wypisuje mi się długopis, więc biorę inny, leżący akurat na stole. Wtedy podchodzi do mnie dwu-, może trzyletni chłopiec, synek przesłuchiwanego, i mówi: „Zostaw, to jest Krysi”.

Bardzo mnie to poruszyło. Wciąż przecież miałem przed oczyma widok zmasakrowanych zwłok dziecka, a teraz rozmawiam z jego matką, która nie wie, co się stało, jest przestraszona, ale wciąż ma bardzo silną nadzieję, że jakoś to się wyjaśni i znów wszystko będzie

dobrze. Czuję, że zbliża się to nieuchronne. Andrzej zauważył, co się ze mną dzieje, a potem poprosił o herbatę.

Przesłuchanie powoli dobiega końca, mamy mnóstwo detali, które później trzeba będzie jeszcze raz przetrwać. Już czas... to nieuniknione. Andrzej odzywa się, ważąc słowa, że musi jeszcze coś powiedzieć, co jest straszne... ale oni muszą o tym wiedzieć – Krysia nie żyje.

Szok, rozpacz... Matka pada na podłogę. Ojciec, młody chłopak, nieudolnie próbuje ją uspokajać. Moja twarz pozostaje nieporuszona, ale czuję, że wszystko we mnie krzyczy. W tej sytuacji dojrzałym, zaskakującym spokojem wykazuje się dziadek ofiary i w sposób bardzo poważny, ale i niezwykle ciepły, zaczyna opanowywać emocje rodziców.

Konieczną formalnością było jednak rozpoznanie dziecka. Przyjechał na nie tylko dziadek, bo rodzice nie byli w stanie na to patrzeć. Prosił, abyśmy załatwili kwestię doprowadzenia ciała do jakiegoś poprawnego wyglądu.

Zabójca Krysi został zatrzymany następnego dnia. Wcześniej jej nie znał.

Sprawy dotyczące zabójstw dzieci są zawsze szczególnie poruszające emocjonalnie i stąd, dla oficera, który się nimi zajmuje, najtrudniejsze. Powody tego niełatwo zdefiniować słowami. To trzeba opowiedzieć obrazem, widokiem martwego, okropnie poranionego dziecięcego ciała, z wyrazem przerażenia zastygłym na drobnej buzi. Wtedy emocje są nieprawdopodobne i chociaż zachowujemy się racjonalnie, to wszystko wewnątrz się gotuje. A przecież jednocześnie trzeba skupić się na chłodnej, profesjonalnej analizie tego, co się stało, i próbować zebrać wszelkie niezbędne ślady i dowody umożliwiające wykrycie sprawcy zbrodni.

Dlatego na takie zdarzenia nie jadą przypadkowi policjanci. W naszym Wydziale była grupa ludzi, mających doświadczenie niezbędne w tego rodzaju sprawach. Inaczej można byłoby coś przeoczyć, czegoś istotnego nie dostrzec, czegoś, co mogło zdecydować o wyniku naszej pracy. Jednocześnie muszą oni także

umieć te przeogromne emocje ukryć gdzieś w sobie i wtedy o nich nie myśleć. Na szczęście w takich sytuacjach żaden z nas nie pozostawał sam, bo z nim był cały zespół, w którym każdy wykonywał swoje zadania zgodne ze swoją specjalnością.

Po takich sprawach nieraz do końca życia pozostają w pamięci obrazy ofiar, jak choćby głowa kilkuletniego dziecka przypominająca zmiażdżoną czereśnię. A przecież trzeba to w protokole jakoś opisać, szczególnie po szczególe, przyjąć jakieś nazewnictwo, bo ktoś to kiedyś przeczyta i musi zrozumieć tak, jakby sam to widział.

A potem zetknięcie się z mordercą. Szczególnie trudno powściągnąć emocje, gdy staje się to krótko po zbrodni. Wtedy jednak po raz kolejny trzeba zachować spokój i ukryć swoją wrogość wobec człowieka, który dopuścił się czegoś tak potwornego. Trzeba pamiętać o tym, że to kolejny etap procesu dowodowego i że nie można swoim zachowaniem dopuścić, aby on zamknął się w sobie. Wówczas przydają się nawet pewne zdolności aktorskie, aby zagrać kogoś, kto w gruncie rzeczy mu współczuje, widzi, że ma on jakiś problem, z którym nie potrafi sobie poradzić. A czasem trzeba inaczej – zagrać kogoś zdecydowanego, niemającego żadnych wątpliwości, iż ma do czynienia ze sprawcą. A więc grać pewną rolę, a emocje zostawić na boku, bo później i tak powrócą.

## ALKOHOL

Drzwi do mieszkania trzydziestoletniej Beaty Z. były niedomknięte. Już to samo dość intrygowało jej sąsiadów, a kiedy przez uchyloną szparę zaczął przedostawać się na klatkę schodową mdlący odór, zawiadomili nas, sugerując sprawdzenie, czy coś tam się nie stało.

Znaleźliśmy ją leżącą w pokoju na kanapie, tuż obok stojącej lampy, której kabel owijał jej szyję. Udużono ją kilka, a może nawet kilkanaście dni temu, a ciepła, letnia pogoda przyspieszyła procesy gnilne, znacząco utrudniając określenie terminu zgonu. Odór w mieszkaniu był nie do wytrzymania. Przesiąkał naszą odzież, włosy, skórę i w końcu miało się wrażenie, że wchodzi w nasze głowy, powodując, iż aby skupić się i myśleć racjonalnie, musieliśmy wychodzić na zewnątrz. Lecz on wychodził tam wtedy razem z nami, powodując, że postronne osoby odsuwały się od nas ze wstrętem. Wprawdzie po krótkich oględzinach zwłok wyniesiono je pospiesznie do prosekatorium, ale odór pozostał. Wchłonięty przez pościel, odzież, meble i wszystkie inne przedmioty znajdujące się w mieszkaniu. Ciągące się godzinami oględziny i towarzyszące im zabezpieczenia śladów stały się udręką, co rusz przerywaną wychodzeniem na papierosa, czy po prostu dla zaczerpnięcia haustu świeżego powietrza.

Analiza znalezionych w mieszkaniu przedmiotów, dokumentów i zabezpieczonych śladów nie dostarczyła nam żadnych wartościowych informacji zarówno o denatce, jak i o zabójcy. Przede wszystkim brakowało telefonu, a po sprawdzeniu okazało się, że nie miała nawet stałego abonamentu. To odcinało możliwość szybkiego poznania jej kontaktów. Prowadzone równolegle rozpoznanie wskazywało, że Beata miała wielu znajomych, ale nikt z sąsiadów nie potrafił nic o nich powiedzieć. Nie nawiązywała z nimi rozmów i nie opowiadała o sobie. Z rodziną, mieszkającą w innym mieście, też

widowała się tylko sporadycznie i nie lubiła zwierzać się im ze swoich spraw. Podobną opinię miała w miejscu pracy.

Nie bardzo więc było wiadomo, gdzie i z kim bywała, kto mógł być w jej mieszkaniu w dniu zabójstwa, a przede wszystkim – kiedy doszło do tej tragedii. Pytanie: „kiedy?” stało się dla nas kluczowe, bo bez określenia dokładnej daty trudno byłoby przecież kogokolwiek sprawdzać i weryfikować jego alibi. Ponawiając rozpoznanie, staraliśmy się więc dotrzeć do bezwzględnie wszystkich osób zamieszkałych w tym budynku, także nastolatków i dzieci, aby wyciągnąć z nich jakieś choćby mało istotne spostrzeżenia, które przybliżą nas do ustalenia tego, kiedy widziano ją po raz ostatni. Wreszcie młoda, kilkunastoletnia dziewczyna, grająca w siatkówkę w miejscowym klubie sportowym, podała, iż wracając około godziny dwudziestej drugiej z treningu, widziała, jak Beata Z. otwiera drzwi do swojego mieszkania. To musiał być ostatni poniedziałek, bo tylko w poniedziałki jej trening kończył się tak późno.

Wprawdzie Beacie wtedy nikt nie towarzyszył, ale był to już jakiś punkt odniesienia przybliżający nam określenie właściwego terminu zdarzenia.

Nadal jednak nie mieliśmy ani motywu, ani też osoby, która mogła tej zbrodni dokonać. W tej sytuacji ktoś wpadł na pomysł, aby wykorzystać fakt, że sprawca pozostawił drzwi mieszkania niedomknięte. Skoro wie, że ich nie zamknął, to może jeszcze raz się tam pojawić, może przyjdzie po jakiś przedmiot, którego w pośpiechu zapomniał zabrać, a może po prostu z ciekawości sprawdzić, czy już jego ofiarę znaleziono. Prawdopodobieństwo tego było niewielkie, ale my nadal błędziliśmy po omacku, nic konkretnego nie wiedząc i dlatego warto było chwytać się każdej, najdrobniejszej szansy, zakładając oczywiście, że nie był to nikt z sąsiadów. Zapada decyzja – robimy zasadzkę. Będziemy czekać wewnątrz – trzech policjantów za wciąż niedomkniętymi drzwiami. Będą się zmieniać co sześć godzin aż do odwołania. Jeśli nie przyjdzie sprawca, to może przypadkowo chociaż jakiś jej znajomy, który będzie wiedział, gdzie i z kim bywała, a to też nam bardzo

pomoże. Warto spróbować.

Zaczynamy. Szybko się jednak okazuje, że pomimo uchylonego okna, utrzymujący się odór praktycznie uniemożliwia dłuższy pobyt w mieszkaniu. Niektórzy czekający wymiotują w łazience, inni siedzą otępiali, marząc o końcu swojej „zmiany”. Odzież, którą mają na sobie, jest praktycznie do wyrzucenia. Żadne czyszczenie czy pranie nie usunie całkowicie tego smrodu. Skracamy ich służbę do okresów czterogodzinnych, ale i to nie pomaga. To już drugi dzień i nadal nikt się nie pojawił. Wtedy zapada tzw. „cicha zgoda” na niewielkie ilości alkoholu. Szef oczywiście „nic nie chce o tym słyszeć”, co oznacza, że odpowiedzialność za ewentualne skutki spadnie na nas. Ale inaczej powiedzieć nie może, a bez tego nie da się tam już dłużej wytrzymać. I tak, kto może, stara się uciec do innych zadań – byle nie tam, w tym smrodzie. Mija trzeci dzień, ale nikt nie podszedł nawet do niedomkniętych drzwi. Tylko sąsiedzi monitują telefonicznie, pytając dlaczego mieszkania dotąd nie zabezpieczono. Tego się już nie da dłużej ciągnąć. Rezygnujemy.

I nagle pojawia się informacja wskazująca potencjalnego sprawcę zabójstwa. Ma nim być trzydziestoczteroletni Henryk D. Szybko powielamy jego zdjęcie. Ma dzisiaj przyjechać pociągiem o godzinie szesnastej piętnaście. Jest właśnie czternasta. Błyskawiczna odprawa, w której bierze mnóstwo ludzi oderwanych od innych zadań. Wszyscy dostają zdjęcia i o szesnastej jesteśmy już w zatłoczonym o tej porze ogromnym holu dworcowym oraz na peronie, przy którym zatrzyma się ten pociąg. Wtopieni w tłum nie rzucamy się w oczy. Napięcie rośnie. Czekamy na zapowiedź wjazdu pociągu. Najlepiej będzie zatrzymać go już na peronie, ale może przecież wysiąść z drugiej strony, przejść przez tory i opuścić dworzec innym wyjściem. Wjeżdża pociąg, obserwujemy wysiadających... Nie ma go. Czyżby nam umknął? Może wysiadł na wcześniejszej stacji? Może ktoś go ostrzegł? Napięcie opada.

Ale krótko potem wpływa nowa informacja. Mógł pojechać autobusem. Będzie na dworcu autobusowym za pół godziny. Pędzimy do samochodów i po kilku minutach już tam jesteśmy.



Sytuacja się powtarza. Krążymy, czekamy, przyjeżdża autobus... ale bez niego. Nie udaje się więc go zatrzymać, lecz, sprawdzając szczegóły informacji, jesteśmy przekonani, że trop jest trafny – to musi być on.

A on sprawia nam kolejną niespodziankę. Pewnego dnia osobiście zgłasza się do jednego z komisariatów i przyznaje do zabójstwa.

Opowiada, jak poznał Beatę, zaangażował się uczuciowo i spędzał noce w jej mieszkaniu. Któregoś dnia, gdy leżeli na kanapie, zaczęła z niego szydzić. Wściekł się i w porywie zacisnął na jej szyi kabel od stojącej obok lampy. Gdy ochłonął i puścił, ona już nie oddychała. Spanikował, szybko ubrał się i wyszedł, pozostawiając przez nieuwagę niedomknięte drzwi.

Potem wyjechał z miasta do znajomych. Cekał, aż po niego przyjedziemy. W końcu nie wytrzymał napięcia i zgłosił się sam.

Przyjmujemy tę wersję, bo innej nie mamy – a więc zabójstwo w afekcie. Kiedy jednak pytamy o datę, okazuje się, że stało się to dokładnie tydzień wcześniej, niż zasugerowała nam wracająca z treningu młoda sąsiadka. Nie kłamała. To też był poniedziałek, ale wcześniejszy. I przez to mogliśmy nigdy nie ustalić sprawcy.

## POLICJANCI

Tego dnia, w godzinach południowych, w mieszkaniu trzydziestokilkuletniego Daniela Z. zadzwonił telefon. Odebrała go dziesięcioletnia córka, Julia. Nieznany jej męski głos zapytał ją o ojca. Poinformowała, że obecnie nie ma go w domu, ale powinien niedługo wrócić. Kwadrans później pod budynek podjechała zielonkawa kia, z której wysiadło dwóch mężczyzn. Skierowali się do mieszkania Daniela. Gdy Julia otworzyła drzwi, powiedzieli, że są z policji, machnęli jej przed oczyma jakimiś legitymacjami i zapytali o ojca. Kiedy okazało się, że nadal go nie ma, odeszli. Zatrzymali się na parterze i, stojąc przy wejściu do budynku, palili papierosy. Czekali. Czas płynął powoli, lokatorzy domu wchodzili i wychodzili, zerkając podejrzliwie na obcych. Po około dwóch godzinach wreszcie pojawił się oczekiwany Daniel. Został natychmiast skuty w kajdanki i wyprowadzony do samochodu, który od razu odjechał.

Daniel miał już kłopoty z prawem. Kilka miesięcy wcześniej w porozumieniu z Waldemarem K. założył firmę, która, wabiąc potencjalnych klientów możliwościami zakupu towarów po atrakcyjnych cenach, wyłudziła od nich spore sumy pieniędzy. Szybko się to jednak wydało i policja wszczęła w tej sprawie postępowanie. Daniel przyznał się do winy, szczegółowo opisując mechanizm oszustwa. Waldemar K., zawodowy oszust, który był już wcześniej karany, wszystkiemu zaprzeczał, obawiając się tym razem wysokiego wyroku. Dlatego też niejednokrotnie próbował nakłonić Daniela do zmiany wyjaśnień, tak aby zatuszować swój udział w tym procederze i uniknąć odpowiedzialności. Daniel jednak nie zamierzał sam ponosić wszystkich konsekwencji, tym bardziej że oczekiwał łagodnego potraktowania za nieutrudnianie postępowania.

Kiedy żona Daniela wróciła z pracy, jego nadal nie było. Od córki dowiedziała się, że został zabrany przez policję. Ponieważ jej brat też

był policjantem, poprosiła go, aby się zorientował, kiedy mąż zostanie zwolniony do domu. Okazało się, że do miejscowego komisariatu nikt go nie przywoził. Również inne okoliczne jednostki policji zaprzeczyły, aby go zatrzymywały. W sąsiednim mieście wojewódzkim policja także nie potwierdziła zainteresowania jego osobą.

W tej sytuacji do jego miejsca zamieszkania przyjechali miejscowi policjanci, aby bliżej przyjrzeć się okolicznościom tego zdarzenia. Rozmawiali z mieszkańcami, którzy widzieli samochód i czekających mężczyzn. Ustalono ich rysopisy, a nawet fragmentaryczny zapis numeru rejestracyjnego tego pojazdu. Niektórzy widzieli też, że w samochodzie siedział jeszcze trzeci mężczyzna, ale nikt nie potrafił już go opisać.

Wszystko więc wskazywało na to, że naprawdę doszło do zatrzymania Daniela przez policjantów z nieustalonej jednostki, być może z innego województwa.

Przyjęcie tej tezy skutkowało też niestety rezygnacją z zabezpieczenia istotnych śladów obecności nieznanymi mężczyzn, przede wszystkim pozostawionych przez nich niedopałków papierosów. Ostatecznie stwierdzono, że jednostka zatrzymująca Daniela sama powiadomi jego żonę o tym fakcie.

Niemniej jednak, na wszelki wypadek, zwrócono się do komisariatu w sąsiednim mieście wojewódzkim, gdzie zamieszkiwał Waldemar K., aby sprawdzono jego alibi na ten dzień. Następnego dnia przyszła odpowiedź, że przebywał on cały czas w swoim miejscu zamieszkania. Ta informacja oraz fakt, że nie był on podobny do żadnego z dwóch mężczyzn widzianych przez świadków, wskazywały na brak jego związku z tym zdarzeniem. Telefon, z którego dzwoniło do domu Daniela, był na kartę prepaidową, abonent był więc niezarejestrowany.

Jednak czas płynął. Daniel nie wrócił do domu ani w żaden sposób nie nawiązał kontaktu z żoną. Nie dzwonił także nikt z policji. Wszystko zaczęło więc wskazywać na to, że mógł zostać uprowadzony. Kilka dni później przypadkowy spacerowicz w pobliżu

nieodległego miasta powiatowego zawiadomił policję, że w rozlewisku powstałym po dawnej zwirowni pływają zwłoki ludzkie. Po przybyciu na miejsce policjanci ustalili, że jest to ciało mężczyzny, obwiązane łańcuchami i podczipione nimi do plastikowego, częściowo wypełnionego wodą pojemnika. Szybko zidentyfikowano, że są to zwłoki Daniela. Ich sekcja wykazała, że przyczyną zgonu było utonięcie. Równocześnie we krwi denata stwierdzono znaczne stężenie amfetaminy. Wszystko to potwierdzało, że mamy do czynienia z zabójstwem. W tej sytuacji nasz Wydział przejął sprawę do prowadzenia.

Pierwsze tropy wynikające z dotychczasowych ustaleń wiodły jednak w bardzo dziwnym i niepokojącym kierunku – wprost do policji. Porywacze i zapewne późniejsi mordercy przedstawili się jako policjanci, pokazywali legitymacje, ostentacyjnie dość długo czekali na Daniela, nie kryjąc się wcale wobec jego sąsiadów, a na dodatek dysponowali samochodem, wprawdzie cywilnym, bez policyjnych oznaczeń, ale marki często używanej przez policję. Nadto podany przez świadków numer rejestracyjny tego pojazdu, był bardzo bliski numerowi samochodu, którym policja faktycznie dysponowała. Jeżeli więc nawet świadek nieznacznie się pomylił, to wnioski nasuwały się same. Sytuacja była poważna, bo próbując zidentyfikować ten pojazd, natrafiliśmy na samochód będący w dyspozycji jednego z regionalnych zarządów CBŚ. Jego marka i kolor nadwozia były identyczne, a numer tylko minimalnie się różnił. Nie mogliśmy tego zignorować, tym bardziej że praktycznie nie było innych kierunków działania. Spotkaliśmy się więc z kierownictwem prokuratury okręgowej, omawiając wszystkie aspekty tej niecodziennej sytuacji. Zapadły nieuchronne decyzje – tę wersję trzeba niezwłocznie sprawdzić, podejmując działania procesowe w tym zarządzie CBŚ przy udziale prokuratora.

Było to bardzo nieprzyjemne dla nas, a jeszcze bardziej dla policjantów z tego zarządu. Wykonując czynności w ich siedzibie, badaliśmy, którzy z nich wyjeżdżali tego dnia w teren samochodem i którym konkretnie pojazdem. Przesłuchiwano ich oraz sprawdzano,

gdzie i w jakim czasie przebywali. Równolegle przeprowadzono drobiazgowo oględziny typowanego samochodu. Atmosfera była fatalna. Byli oczywiście urażeni tym naszym rozliczaniem, choć musieli zdawać sobie sprawę, że nie mamy innego wyjścia. W końcu mogliśmy odetchnąć z ulgą – ten trop prowadził donikąd, nikt z nich nie mógł brać udziału w uprowadzeniu Daniela. Ale oni tym bardziej czuli się obrażeni. Cóż, trudno się dziwić, to zrozumiałe, subiektywne ich nastawienie, chociaż... może trochę nieprofesjonalne. Ale jakże trudno w takich sytuacjach zapanować nad emocjami.

Teraz już praktycznie nie mieliśmy żadnych dalszych pomysłów na śledztwo. Dwa rysopisy, opis samochodu i żadnych śladów ani osób, do których można by je przymierzać. Tymczasem sprawa nabrała charakteru prestiżowej, bo przecież rozchodziły się wieści, że Daniela zabrali policjanci, a teraz prowadzący śledztwo nie mogą, albo... może nie chcą ich znaleźć. Ewentualne niepowodzenie fatalnie by nas skompromitowało.

Zastanawiam się. Okoliczności wskazywały, że nie był to przypadek, tylko działanie z góry zaplanowane. Musiał być więc jakiś silny motyw. Takich rzeczy nie robi się pod wpływem zwykłego impulsu. Sprawcy byli bardzo pewni siebie, udając policjantów. I mieli dużo czasu. A więc działali z determinacją, nie zamierzali łatwo zrezygnować ze swych zamiarów. Ponownie analizuję akta – chyba coś przeoczyliśmy, gdzieś popełniono błąd. Znajdując go, otworzę drogę do dalszych działań. Strona po stronie staram się krytycznie oceniać każde zeznanie świadków – o co ważnego ich nie zapytano, co umknęło, czego nie dopowiedzieli. Jakie jeszcze sprawdzenia i czynności wykonano. Czy zrobiono to rzetelnie. Jedno wiem – oni tam są... gdzieś ukryci za numerem telefonu, z którego dzwonili. Trzeba działać, coś się musi pokazać. Chociaż sporo już zrobiono, to może... Może zrobmy to jeszcze raz. Wszakże mieliśmy tylko jeden wyraźny motyw – presja Waldemara K. na wycofanie obciążających go zeznań. Więc sprawdzmy ponownie jego alibi, nie przejmując się dotychczasowymi ustaleniami. Przecież sprawcy, obciążając ciało, myśleli, że ono nigdy nie wyplynie i w ogóle nie zdołamy wyjaśnić,

co się stało.

Jadę do miasta, w którym mieszka Waldemar. Zaczynam od rozmowy z policjantem, który sprawdzał jego alibi w dniu uprowadzenia Daniela. Robi wrażenie speszonego, ale nic nie ukrywa. Szybko okazuje się, że on tylko sporządził notatkę o sprawdzeniu dokonanym przez jego kolegów, którzy byli wprawdzie w mieszkaniu u Waldemara, ale jego samego nie widzieli, zadowolając się stwierdzeniem innego domownika, że jest on w domu.

Czyli już coś mam, jakąś wątpliwość... Bo może jednak go tam nie było. Ale to nic nie znaczy, to tylko zachęta dla mnie, aby działać dalej. Ustalam, do kogo należy numer prepaidowy, z którego dzwoniło do Daniela. Zbieram dane z sieci komórkowych, analizuję, przesłuchuję dziesiątki świadków i krok po kroku pojawia się coraz wyraźniej sylwetka Waldemara. Po wielu dniach żmudnej pracy mam pewność – to jego numer. Okazuje się przy tym, że jedno z jego połączeń, krótko przed zdarzeniem, to numer wypożyczalni samochodów.

Rozmawiam z jej właścicielem, przeglądam rejestry klientów. Faktycznie, tego dnia wypożyczano samochód, którego marka i kolor odpowiadają pojazdowi widzianemu przez świadków przed domem Daniela. Przyszedł po niego mężczyzna legitymujący się dowodem na nazwisko Ryszard M., jednak właściciel poznał, że jest to Waldemar K., z którym kiedyś uczęszczał do tej samej szkoły. To już jest bezcenne. Wiem już kto, tylko jeszcze muszę ustalić, z kim współdziałał.

Waldemar jednak nie pasuje do rysopisów osób widzianych przez świadków. Ale jego telefon w czasie uprowadzenia logował się na miejscu przestępstwa. Był więc pewnie tym trzecim, który nie wychodził z pojazdu. Nie chciał spłoszyć Daniela.

Analizuję jego kontakty telefoniczne. Może któryś z tych numerów logował się tego dnia w pobliżu zbiornika wodnego, gdzie utopiono Daniela? Wreszcie trafiam – Marek W. Ale czy to na pewno chodzi o niego? Czy brał w tym udział? Czy może to tylko zbieg

okoliczności? Przychodzi mi na myśl stara maksyma: „W takich sprawach nie ma przypadkowych zbiegów okoliczności – każdy trzeba sprawdzić”. Ktoś wtedy do niego zadzwonił. Ruszam tym tropem i ustalam posiadacza telefonu. To młoda kobieta, która była jego dziewczyną. Potwierdza ten kontakt. Udaje mi się zdobyć zdjęcie zrobione na kilkanaście dni przed zabójstwem, na którym wśród innych osób jest także Marek. Okazuję je świadkowi, który bezbłędnie rozpoznaje go jako jednego z „policjantów” czekających wówczas na Daniela.

A zatem mam już dwóch. O trzecim nie wiem nic, no... może poza charakterystycznym rysopisem, ale to na razie za mało. A może oni sami mi o nim powiedzą? Czas już ich zatrzymać i pogłębić ustalenia.

Waldemar trochę jest zaskoczony, ale podczas przesłuchania wszystkiemu zaprzecza, próbując przy tym wysondować, co właściwie na niego mamy. Czy ktoś go pomawia? Dziwnie nie obawia się o jakiegokolwiek ślady. Żeby go skruszyć ostrożnie dozuję nasze ustalenia. Gdy wspominam o wypożyczalni samochodów, nie może już przeczyc, więc wymyśla jakąś historyjkę, stwierdzając, że porywacze mogli mieć podobny pojazd. Teoretycznie tak, dowodów pewnych nie mamy, ale poszlaki w zestawieniu z motywem tworzą już zamknięty łańcuch.

Liczę, że Marek będzie bardziej rozmowny. Tymczasem okazuje się, że nie przebywa w swoim miejscu zamieszkania.

Analizy jego kontaktów wskazują na odległe miasto wojewódzkie. Faktycznie tam go znajdujemy. Pracuje w sklepie jubilerskim. Wygląda dziwnie i zupełnie inaczej niż na zdjęciu, bo w międzyczasie schudł o ponad dwadzieścia kilogramów. Musiał już wyczuć, że jesteśmy coraz bliżej, więc chciał się ratować, zmieniając wygląd i miejsce pobytu. Nie udało się.

Podczas przesłuchań zaprzecza wszystkiemu, nawet znajomości z Waldemarem. Jest konsekwentny i niewzruszony. A więc nadal nic nie wiemy o tym trzecim. Co gorsza, brak pomysłu, jak go zidentyfikować.

Przedstawiam sytuację w prokuraturze. Po wnikliwej analizie

postanawiają już nie czekać na dalsze ustalenia i skierować do sądu akt oskarżenia, a trzeciego szukać osobno dalej. Dochodzi do procesu poszlakowego. Sąd nie ma wątpliwości i skazuje obydwu za zabójstwo na kary po dwadzieścia pięć lat pozbawienia wolności.

Trzeciego wciąż szukamy. Wreszcie udaje nam się go wytypować. Rysopis bardzo do niego pasuje, ale pewności nie ma. Wszystkiemu zaprzecza, a my tym razem nie mamy zbyt wielu argumentów. Sytuację utrudnia też duży upływ czasu i wątpliwości świadków. Na razie odpuszczamy. Spróbujemy podejść go jeszcze raz...



## KOPIEC KRETA

Ciepły, letni wieczór. W małej miejscowości odbywa się zabawa. Nastrój pikniku. Bawią się wszyscy, młodzi i starsi. Czas płynie radośnie, bez agresji i awantur, jakie zdarzają się czasem na podobnych imprezach.

Rano szok. Miejscowy posterunek otrzymuje zgłoszenie, że w sadzie położonym niedaleko miejsca zabawy znaleziono wiszące na drzewie zwłoki młodej kobiety. Jest to dwudziestokilkuletnia Iwona R., niezamężna matka trzyletniego dziecka. Wszystko wskazuje na samobójstwo, ale żeby to zweryfikować, trzeba dokonać na miejscu oględzin i zebrać ślady. Kompletnie więc grupę policjantów i jadę tam razem z nimi.

Na ciele dziewczyny nie ma żadnych widocznych obrażeń ani śladów używania przemocy. Na szyi zaciśnięta pętla z linki przywiązanej do gałęzi jabłoni na wysokości około półtora metra od ziemi. W tej sytuacji niewielka wysokość powinna powodować zwisanie zwłok w przykłąku. Tymczasem moją uwagę zwraca inne ułożenie nóg. Są one wyprostowane i wyciągnięte do tyłu w pozycji półleżącej. Przyglądam się temu i zaczynam nabierać wątpliwości, czy rzeczywiście mamy do czynienia z samobójstwem. Postanawiam rozszerzyć rejon oględzin. Może jeszcze coś znajdziemy. I rzeczywiście, w odległości około dwudziestu metrów od drzewa, na kopczyku kreta widnieje odcisnięty świeży ślad obuwia. Rozmiary sugerują, że zostawił go mężczyzna.

Policjant zabezpieczający teren naszych czynności stanowczo twierdzi, że nikt tam nie wchodził. Wykonujemy więc zdjęcie śladu, ale okazuje się, że technik nie ma przy sobie gipsu do sporządzenia odlewu. Wysyłam go w tej sprawie pilnie do komendy.

Korzystając z przerwy, włączam się do rozmów z mieszkańcami, którzy zebrali się w pobliżu, aby obserwować nasze działania.

Wszyscy mówią o samobójstwie, zadają pytania. Ze zdziwieniem reagują, gdy stwierdzam, że są pewne wątpliwości.

Wreszcie technik wraca z gipsem. Podchodzimy ponownie do kopczyka kreta i nagle konsternacja... bo ślad zniknął. Kopczyk został powiększony, bo w międzyczasie kret zabrał się do rozbudowy swojej rezydencji. I tak, w ten niecodzienny sposób tracimy jeden z istotnych dowodów.

Trochę zbulwersowani tą sytuacją przystępujemy do przesłuchań rodziny denatki i osób, w których towarzystwie bawiła się na imprezie. Wszyscy twierdzą, że nic nie wskazywało, aby trapiły ją jakieś problemy. Na zabawie była wesoła, śmiała się i tańczyła. Hmm... nie bardzo to pasuje do wersji samobójstwa. Może coś jednak starannie ukrywała przed otoczeniem, tłamsiła w sobie?

Czytam protokoły przesłuchań i nabieram coraz większych wątpliwości. Dochodzę do wniosku, że wyjaśnienia wymagają dwie kwestie – pochodzenie linki, na której wisiały zwłoki, oraz relacje pomiędzy zmarłą a Ryszardem P.

Rodzice Iwony twierdzą, że okazanej im linki, na której wisiały zwłoki, nigdy w swoim domu nie widzieli.

Zeznania Ryszarda różnią się natomiast od pozostałych. Wszyscy mówili o Iwonie dobrze, a tylko on miał odmienne zdanie. Twierdził, że była niestała w związkach, często zmieniała partnerów i nawet nie wiedziała, kto był ojcem jej dziecka. A o ojcostwo pomawiała właśnie jego.

Sprawdzam i okazuje się, że faktycznie ojcostwo dziecka nie zostało dotąd ustalone i nie toczy się w tej sprawie żadne postępowanie.

Otrzymujemy wyniki sekcji zwłok. Przyczyną śmierci było uduszenie spowodowane powieszeniem. Żadnych innych obrażeń. A więc typowe samobójstwo! Okazuje się też, że dziewczyna była w trzecim miesiącu ciąży, a nikt z rodziny o tym nie wspominał.

Fakt ten nie daje mi spokoju. Dochodzę do wniosku, że to właśnie musiało być przyczyną tragedii. Ciekawe, czy mówiła o tym Ryszardowi i jak on na to zareagował? No i ta linka... Skąd ją wzięła? Przyniosła ze sobą na zabawę? Niemożliwe, po co? Może gdzieś

przypadkowo znalazła?

Gdzie znaleźć odpowiedzi? Czy zabrała je ze sobą?

Przynajmniej jedną z nich musi znać Ryszard. Zobaczymy, co o tym powie. Może się otworzy, gdy poczuje zagrożenie. Uzgadniam więc z prokuratorem jego zatrzymanie i przeszukanie miejsca zamieszkania.

Gdy go przyprowadzają, zachowuje się spokojnie, ale widać, że jest przestraszony niespodziewanym zatrzymaniem. To jednak jeszcze o niczym nie świadczy. Postanawiam od razu zablęfować i pytam:

– Co lepsze, ożenić się z niechcianą dziewczyną, czy ją powiesić?

Zaskoczony spuszcza głowę i cicho odpowiada:

– Ja tego nie zrobiłem.

Ciągnę dalej, blefując:

– To wytłumacz mi, skąd przy drzewie są ślady twoich butów, a na gałęzi odciski palców?

Milczy. Po chwili podnosi ręce, zakrywa dłońmi twarz i płacze.

Czekam, aż się uspokoi. Po jakimś czasie prosi o papierosa i zaczyna opowiadać.

Miał za złe Iwonie, że się puszczała z innymi, a potem jemu wmawiała ojcostwo jej pierwszego dziecka. To samo powtórzyło się przy obecnej ciąży. Powiedziała mu o tym na zabawie. Umówili się więc na spotkanie po jej zakończeniu. Jeszcze przed tym poszedł jednak do domu i zabrał stamtąd kawałek linki, rzekomo aby spuścić jej lanie, jeżeli nie przestanie go pomawiać. Podczas spotkania doszło między nimi do ostrej kłótni i wtedy ze złości uderzył ją pięścią w kark. Po tym ciosie upadła i straciła przytomność. Przestraszył się, że nie żyje, i postanowił upozorować samobójstwo. Na przyniesionej lince zrobił pętlę, założył jej na szyję i powiesił na gałęzi pobliskiego drzewa.

Jeszcze zanim skończył opowiadać, otrzymuję wiadomość, że w jego domu znaleziono identyczną linkę ze śladami odcięcia. Nie wierzę, że zabrał ją w charakterze bata. Widać już wtedy planował, jak ostatecznie pozbyć się kłopotów.

Pod jabłonią było twarde, porośnięte trawą podłoże. Nie zostały

tam żadne ślady obuwia. Jedyne ślad buta na kopczyku zniszczył kret, ale nie pomógł tym w ukryciu zbrodni.

## DROGA DO SZKOŁY

Grupa skromnych domków jednorodzinnych rozsiadła się pod lasem. Tworzą kolonię w miarę samodzielnie funkcjonującą w naturalnych warunkach przyrody. Żyje się tu wolniej, ale swobodniej, z dala od miejskiego zgiełku, w rytmie wschodów i zachodów słońca. Wszędzie blisko, nie trzeba ciągle uważać na przejeżdżające pojazdy i wszyscy znają się na wylot. Nikt nie kłuje tu w oczy pieniędzmi, żyje się skromnie i każdy zna status materialny sąsiadów. Większość utrzymuje się z pracy w pobliskim mieście powiatowym. Niektórzy dojeżdżają tam autobusem, który kilka razy dziennie zatrzymuje się na przystanku przy skraju lasu.

Tego listopadowego ranka dziesięcioletnia Basia zbierała się już do szkoły. Zwykle wychodziła wcześniej razem z całą grupką dzieciaków, tym razem mogła jednak pospać dłużej, bo dwie pierwsze lekcje odwołano z powodu choroby nauczycielki. Rozkoszując się tą wyjątkową sytuacją, wolno celebrowała śniadanie, podczas gdy jej mama szykowała już kanapki do zjedzenia na dużej przerwie. Nie można było jednak tego przeciągać w nieskończoność, bo spóźnienie oznaczało utratę możliwości dotarcia do szkoły i tym samym nieusprawiedliwioną absencję. Pożegnały się jak zwykle i Basia skierowała się na leśną drogę prowadzącą wprost do przystanku. Zwykle pokonywała ją w piętnaście, dwadzieścia minut, powinna więc zdążyć bez problemów.

O tej porze droga już była pusta, cicha i jakaś taka smętna. Basia szła pewnym krokiem, nie przyglądając się otoczeniu, które znała już na pamięć. Dobrze czuła się w tym lesie. Od urodzenia mieszkała w nim i było to jej naturalne środowisko. Spędzała tu cały rok, bawiąc się z rówieśnikami, zbierając jagody, chrust i pomagając wyszukiwać grzyby. Ale o tej porze czekała już na śnieg, który sprawiał, że las stawał się bajkowy i świąteczny. Czarował wtedy

i obiecywał gwiazdkowe prezenty. Teraz, idąc, brodziła w masie zeschniętych, pożółkłych liści, umyślnie szurając w nich butami, aby wywołać głośnie szeleszczenie rozbijające martwość jesiennej ciszy. Czuła się, jakby płynęła wśród nich, żłobiąc swoje ścieżki. Szelest zagłuszał wszystko, ale kątem oka dostrzegła jakiś ruch pomiędzy drzewami. Ktoś zbliżał się z boku. Czyżby któryś z sąsiadów krążył po lesie? Był już blisko. Spojrzała na niego zdziwiona...

Dzieci wróciły razem ze szkoły autobusem około szesnastej. Ale bez Basi. Co gorsza, nikt jej w szkole nie widział. Rostło przerażenie tłumione nadzieją na jakieś przypadkowe zagubienie w mieście, które się szybko wyjaśni. Rodzice zawiadamiają policję. W takich przypadkach nie ma przecież chwili do stracenia. Kierowca PKS-u zaprzecza, aby rano wsiadała na skraj lasu. Może nie zdążyła na autobus i poszła pieszo?

Zapadał już wczesny zmrok, gdy policjanci z grupą okolicznych mieszkańców ruszyli na przeszukiwanie terenu. Przy drodze nie natrafiono na żadne ślady, świecono latarkami, wołano... Bez efektu. W mieście też nikt jej nie widział.

Ciało znaleziono dopiero rano, krótko po wznowieniu poszukiwań. Leżało częściowo obnażone kilkadziesiąt metrów od drogi. Przyczyną zgonu było uduszenie. Napastnik zaskoczył ją nagłym uderzeniem pięści w prawą część twarzy, po czym oszołomioną i półprzytomną przeniósł w głąb lasu. Przyciskając jednak za mocno, zatamował możliwość oddechu i przerażone dziecko zmarło. Zapewne tego nie zauważył, bo zaczął ją rozbierać. Wtedy dopiero dostrzegł, że jej organizm nie wytrzymał szoku. To go zniechęciło do gwałtu, ale przeżył seksualną ekscytację, której ślady zostały na jej brzuchu.

Na sprawę tę natknąłem się po latach, przeglądając wielotomowe akta śledztwa przeciwko Hubertowi W., seryjnemu zabójcy, który przyznał się do kilkadziesiątu podobnych morderstw, w tym także i do tego. Sąd miał jednak wtedy sporo wątpliwości, bo zbyt wiele nieścisłości w jego wyjaśnieniach wskazywało na tendencję do konfabulacji i przypisywania sobie czynów niepopołnionych, a nadto sam oskarżony odwołał to, co wcześniej powiedział, twierdząc, że

zasugerowano mu udział w tych zbrodniach. Ostatecznie skazano go za jedno zabójstwo, w którym jego sprawstwo było w pełni udowodnione.

To była już dość odległa przeszłość, ale potem w myślach wielokrotnie do mnie wracała. Zamykałem oczy i nieomal widziałem Basię idącą samotnie przez listopadowy las. „To musiał być przypadek – myślałem – napastnik nie mógł przecież wiedzieć, że ona tego dnia później zaczyna lekcje i pójdzie na przystanek właśnie o tej porze. Chyba... Chyba że byłby to ktoś z sąsiedztwa, ktoś kto widział, jak wychodziła z domu, i ruszył za nią. Ale przecież ten wątek został już sprawdzony i wykluczony.

A przypadki... Czy one naprawdę nie podlegają żadnym regułom? Czasami można przecież dopatrzeć się jakiegoś klucza, czegoś, co je jednak łączy, spina w jakiś pozornie niezauważalny ciąg. Zdecydowanie trzeba więc przestać myśleć o niej i zacząć analizować mordercę, jego osobowość, próbować wejść w jego skórę, czuć i myśleć tak jak on. To w nim jest klucz do tego tragicznego przypadku.

Chodził po tamtejszym lesie, więc mieszka gdzieś w pobliżu – kilka, najwyżej kilkanaście kilometrów od miejsca zdarzenia. Dopóki jej nie zobaczył, nie miał jeszcze konkretnego zamiaru, nie mógł liczyć, że trafi mu się taka okazja. To był impuls... Nie myślał już wtedy o niczym innym. Impuls... Tak, ale skąd mu to przyszło do głowy? Może skrycie marzył o takiej sytuacji i po prostu nie mógł jej nie wykorzystać? Choć nie wszystko poszło tak, jak pragnął, to jednak nikt się o nim nie dowiedział. Uszedł bezkarny... A to zachęca, budzi apetyt. Może następnym razem będzie jeszcze lepiej. Był jak wilk po udanym polowaniu.

Ciągle chodzi mi to po głowie... On gdzieś tam jest... w pobliżu. Musiał przecież dalej polować, może nawet wiele razy. To może być ten klucz do zagadki Basi. Trzeba to sprawdzić!

Odtąd myślałem o nim coraz częściej. Może złapano go w zupełnie innej sprawie i już siedzi, ale o Basi nic nie powie. Wróciłem do wertowania akt Huberta W. Może jeszcze coś znajdę, jakies

podobne zabójstwo w tym rejonie. Systematycznie badam sprawę po sprawie – daty i miejsca. Jest tego dużo i powoli ogarnia mnie zwątpienie. Aż w kolejnym tomie natrafiam na sprawę kobiety uprowadzonej, zgwałconej i zamordowanej w pobliżu sąsiedniej miejscowości. Stało się to prawie równo trzy lata po ataku na Basię. Czyżby to on?

Jolanta Z., mieszkająca zaledwie pięć kilometrów dalej, wcześniej rano wyszła z domu, udając się na przystanek autobusowy, skąd zwykle jeździła do pracy w pobliskim mieście powiatowym. Było krótko po szóstej i grudniowy dzień jeszcze się nie obudził. Było zupełnie ciemno. Miała do przejścia około siedmiuset metrów ścieżką biegnącą obok szosy. I zniknęła... Zupełnie jak Basia.

Wieczorem, gdy po pracy nie pojawiła się w domu, zdenerwowany mąż zawiadomił policję. Wstępne rozpoznanie nie dało żadnych rezultatów, nikt jej nie widział ani na drodze, ani w autobusie, ani w mieście.

Była kobietą dość energiczną, pewną siebie i dominującą w małżeństwie. Rozpoczęto poszukiwania. Po czterech dniach bez efektów sąsiedzi i okoliczni mieszkańcy zebrali się i zaczęli zbiorowo, tyralierą przeczesywać teren w pobliżu miejsca jej zamieszkania. Jeżeli stało się coś złego, to przecież nie mogła w mroku odejść zbyt daleko.

Znaleziono ją w głębokim dole znajdującym się około dwóch kilometrów od domu. Sekcja wykazała, że została zgwałcona i potem zabita silnymi wielokrotnymi uderzeniami twardym przedmiotem w głowę. Moją uwagę przykuł fakt, że miała też obrażenia od ciosu z prawej strony twarzy. Zupełnie jak Basia. Czy to tylko przypadek?

Piję kawę i zaczynam zastanawiać się, czy w tym wyszukiwaniu podobieństw nie staję się zbyt tendencyjny i dostrzegam tylko to, co chcę zobaczyć, tracąc przy tym obraz całości. Jakże łatwo się tak zaprogramować. Dlatego trzeba spojrzeć krytycznie na każdy detal, wrócić tam, na tę ścieżkę obok szosy, i próbować odtworzyć przebieg zdarzeń.

Ktoś musiał ją tam zaskoczyć, uderzyć i uprowadzić. Na pewno miał



samochód, nie mógł przecież jej zbyt długo nieść ani tym bardziej ciągnąć. A na pewno nie dwa kilometry. Pomimo ciemności widać było wiele – teren był odkryty, drogą jeździły samochody, sporadycznie ktoś przechodził, nie sposób było w takiej sytuacji długo pozostać niezauważonym. A więc napastnik oszołomioną, a może wręcz nieprzytomną ofiarę wciągnął do pojazdu.

Przeglądałam materiały z przesłuchań świadków i natrafiam na zeznanie mężczyzny, który przejeżdżając wówczas tą trasą, zwrócił uwagę na jadący przed nim samochód dostawczy, który momentami zataczał się po jezdni, jakby kierowca tracił panowanie nad pojazdem. Odniósł wrażenie, że tamten może być pijany, ale po kilkudziesięciu metrach jego tor jazdy się wyrównał i ustabilizował. Wtedy go wyprzedził i pojechał dalej.

Ciekawe, czy kierowca dostawczaka za dużo wypił, czy po prostu był znużony długą nocną jazdą. Albo... może jeszcze walczył ze stawiającą opór Jolantą. Znowu czuję pokusę, aby przyjąć tę ostatnią możliwość. Spokojnie... szukajmy dalej. To jeszcze nic nie znaczy.

Jak doszło do tego spotkania w ciemnościach i ataku? Można wyobrazić sobie przypadek. Sprawca prowadził samochód i nagle w światłach reflektorów spostrzegł samotnie idącą kobietę. Impuls... Błysnęła myśl. Okazja! Czyż nie tak było z Basią?

Zamyślam się... Sam już nie wiem, czy celowo szukam podobieństw, czy też one same się nasuwają. Czy to nie jest ślepa uliczka mojej wyobraźni? Dokąd mnie ona zaprowadzi?

Bo przecież mogło być też zupełnie inaczej. To nie był przypadek. On tam już na nią czekał. Znał ją. Wiedział, że o tej godzinie pójdzie tamtędy, jak to czyniła każdego ranka. Przemyślał to i przygotował się starannie. Rozważył ryzyko.

Czyli... miał silny motyw. Takiego działania – oczekiwania na ofiarę, nie podejmuje się przypadkowo, pod wpływem impulsu. A zatem, znajdując motyw, znajdę i jego. Ale czy wtedy będzie to miało jeszcze jakikolwiek związek z tragedią Basi? Czy się od niej powoli nie oddalam?

Znowu wracam do wertowania akt. W którym kierunku poszło

śledztwo? Widać, że włożono w nie mnóstwo pracy – analiz, badań, ustaleń, przesłuchań, typowań, sprawdzeń i rozliczeń osób podejrzewanych. Staram się z tej masy dokumentów wyselekcjonować te najistotniejsze, te o kluczowym znaczeniu dla obrazu sprawy.

W końcu wyłania się pierwsza postać – czterdziestokilkuletni mężczyzna Zbigniew S., znajomy Jolanty. Miał jej za złe wtrącanie się w jego sprawy rodzinne. Obwinił ją za swoje niepowodzenia życiowe. To mógł dla niego być wystarczająco silny motyw, aby się wreszcie na niej odegrać. Podczas przesłuchań wymiguje się ogólnikami, na zmianę potwierdza i zaprzecza ustalonym faktom. Stara się je przeinaczać, kręci... Nie wzbudza zaufania. W końcu postanowiono to rozstrzygnąć poprzez badanie wariograficzne. Zgadza się mu poddać, bo wie, że odmowa postawi go w roli głównego podejrzanego. Rezultat badania nie jest jednak jednoznaczny. Kłamstwa przychodzą mu bardzo łatwo, nieomal bez wewnętrznych emocji, jakby nie odróżniał ich od prawdy. Wątpliwości pozostają.

Próbuję znaleźć jeszcze jakieś argumenty, które by świadczyły przeciwko niemu. Jedna z przesłuchiwanym osobom wspomina, że Zbigniew potrafi silnie uderzyć lewą ręką. A przecież obie ofiary zostały tak właśnie uderzone. Ale czy tylko on jeden tak uderza? Mężczyzna mieszkający przy drodze wiodącej do miejsca, gdzie znaleziono zwłoki Jolanty, zeznał, że tego ranka, gdy zniknęła, słyszał wcześniej rano odgłos przejeżdżającego obok domu pojazdu, którego silnik wydawał charakterystyczny „klekoczący” odgłos. Czy to był samochód zabójcy przewożący wtedy ofiarę? Takiej pewności nie ma, chociaż... ruch na tej drodze jest o tej porze znikomy, prawie żaden.

A równocześnie inny świadek podaje, że widział kiedyś Zbigniewa jadącego z kimś samochodem dostawczym, którego silnik specyficznie „klekotał”.

Ale on nie miał przecież takiego samochodu i zaprzecza, aby mógł nim z kimkolwiek jeździć. Nie sposób tego po czasie zweryfikować.

Właśnie, dlaczego zakładałem, że zabójca Jolanty był sam? Mógł mu ktoś pomagać. Transportowanie nieprzytomnej czy martwej kobiety to wielka trudność dla jednej osoby. A to musiało działać się szybko, by nikt nie zauważył.

Ale to wszystko tylko słabe poszlaki, zbyt wątłe, aby rozstrzygać o winie. Może więc wrócić jednak do wersji przypadkowego ataku pod wpływem impulsu?

Tu też sprawdzano osobę podejrzaną, trzydziestokilkuletniego Bogdana K., który w przeszłości odbywał już karę pozbawienia wolności. Lubił sobie popić, porozrabiać. Tej nocy też był na popijawie z kolegami. Wrócił z niej nad ranem. Nic nie widział, nic nie słyszał, było ciemno i źle się czuł po przepiciu. Jego matka zeznała, że był w domu już przed czwartą rano.

To rozstrzygnęto, choć jakieś niejasne wątpliwości pozostały.

Dopiero jakiś czas później, po śmierci matki, okazało się, że kłamała, aby zapewnić mu alibi. Wrócił wtedy faktycznie dużo później, ale nie chciała, aby znowu miał kłopoty. Oczywiście Bogdan trzymał się wersji matki, ale i tak nie było wiadomo, czy ten jego późniejszy powrót miał związek ze zbrodnią. Jego rola w tej sprawie wciąż nie została ostatecznie wyjaśniona.

Niespełna rok później wybuchła sprawa Huberta W., który przyznał się do szeregu zabójstw, w tym również do zabicia Basi i Jolanty. To właśnie położyło kres poszukiwaniom innego mordercy. Wszystko wydawało się rozstrzygnięte. Po kilku latach zapadł wyrok i akta spoczęły w sądowym archiwum. Razem ze swoimi niewyjaśnionymi tajemnicami.

Lecz nie przeczytałem jeszcze wszystkiego. Wciąż szukam jakieś szansy. Jeszcze raz pochylałam się nad protokołami oględzin i sekcji zwłok. Czy w pełni wykorzystano ślady, które mogły doprowadzić do identyfikacji sprawcy? Na zwłokach Basi i w ciele Jolanty znaleziono ślady spermy. Tak, przekazano je do badań, jednak wówczas, na początku lat dziewięćdziesiątych, jeszcze nie badano kodu DNA. Wynik umożliwiał jedynie szeroką identyfikację grupową, nie wskazując konkretnej osoby. Stąd też nie rozstrzygał żadnych

wątpliwości.

Ale minęło kilka lat, teraz jest inaczej i kod DNA jednoznacznie wskaże winnego, jeżeli tylko znajdzie się w kręgu podejrzanych. Tak więc szansa na to nie przepadła. Są dwie takie osoby i trzeba je niezwłocznie sprawdzić. Czuję narastające podniecenie, jakby sprawca był już w zasięgu wzroku. Czy się nie mylę? Czy rzeczywiście jeden z nich dokonał obydwu zbrodni?

Rzucam się więc w wir ustalania, gdzie obecnie znajdują się zabezpieczone ślady – były wysyłane do badań, potem wracały, następnie sprawy przekazano do połączenia z aktami dotyczącymi zbrodni Huberta W. Czy przekazano też ślady? Sprawa poszła do sądu. Później nastąpiły zmiany organizacyjne w policji spowodowane reformą administracyjną kraju i niektóre jej jednostki uległy likwidacji. Nie sposób samemu tego wszystkiego sprawdzić, kieruję więc szereg pism do poszczególnych komend, prokuratur i sądu. Czas płynie, ale jestem spokojny. Gdzieś przecież muszą być schowane.

Stopniowo dostaję odpowiedzi. Negatywne. Zaczyna narastać niepokój, ale przecież nadzieja umiera ostatnia. Powoli odkrywam prawdę. Ślady zostały częściowo zużyte podczas badań, a tego, co pozostało, nie przechowano, ponieważ nie było już do niczego potrzebne. Nie przewidziano, że za trzy lata nauka otworzy możliwość badania DNA, a poza wszystkim sprawca przecież przyznał się do zbrodni.

Zamyślam się. Czyż można tu mówić o czyimś zaniedbaniu?

W tamtych realiach nie. A tak blisko prawdy byliśmy teraz, po latach, że aż boli.

Zamykam oczy. Dziewczynka znowu idzie przez ten ponury listopadowy las. Kogo tam spotkałaś, Basiu?

## ALIBI

Rodzina zgłosiła zaginięcie młodej, dwudziestoletniej dziewczyny – Katarzyny S., która około godziny dziewiątej trzydzieści wyszła z domu, udając się na stację PKP w malutkiej podmiejskiej miejscowości, skąd pociągiem miała pojechać do pracy. Początkowo traktowano to jako zwykłe zaginięcie, licząc, że prędzej czy później skontaktuje się z rodziną. Po dwóch dniach, wobec braku jakiegokolwiek sygnału z jej strony, rozpoczęto jednak zakrojone na szerszą skalę poszukiwania. W ich trakcie policjanci przeszli trasę, którą Kasia zwykle udawała się na stację. Znaczna jej część prowadziła wzdłuż torów kolejowych. Podczas tej penetracji zauważono ślady wskazujące na przesuwanie po ziemi jakiegoś ciężaru. Ślady te prowadziły na drugą stronę torów, gdzie znajdowało się pole rzepaku. Przeczesując je, natrafiono na nagie zwłoki dziewczyny z wyraźnymi śladami przemocy i gwałtu.

Gdy przyszła wiadomość o znalezieniu zwłok, byłem akurat na naradzie w prokuraturze. Zaraz po jej zakończeniu poinformowano mnie, że na miejscu już działa grupa operacyjno-śledcza oraz pojechał tam również sam komendant. W tej sytuacji decyduję się także na wyjazd, w celu skoordynowania działań grupy i miejscowych policjantów i określenia kierunków dalszych działań.

W trakcie oględzin rejonu znalezienia zwłok natrafiono na różne fragmenty odzieży zamordowanej, ale nigdzie nie znaleziono jej biustonosza. Prowadzący tę czynność wysunął więc sugestię, że sprawca zbrodni mógł go zabrać ze sobą, wykazując tym samym skłonności do fetyszyzmu.

Rozmawiając z komendantem, w pewnym momencie zauważam, iż tuż obok, w kępie zdeptanej trawy prześwituje coś białego. Schylam się, rozgarniam źdźbła trawy i okazuje się, że to właśnie poszukiwany stanik. Wersja dotycząca fetyszysty upada. W efekcie

ogłędzin miejsca zdarzenia oraz sekcji zwłok ustalono, że dziewczyna została zaatakowana i pobita na ścieżce, którą szła w kierunku stacji, po czym nieprzytomną już sprawca przewłókł przez tory na pole rzepaku, gdzie ją rozebrał, zgwałcił, a następnie udusił.

W pierwszej kolejności zaczęliśmy sprawdzać wszystkich mężczyzn, którzy regularnie dojeżdżali porannymi pociągami z tej stacji PKP do miasta. Trwało to pewien czas, ale nie udało się wytypować w ten sposób żadnej podejrzanej osoby. Warto zauważyć, że wśród sprawdzanych był także dwudziestojednoletni chłopak, Rafał M. Podczas przesłuchania podał on, że owego dnia, kiedy zaginęła Kasia, wyszedł z domu wcześniej niż zwykle, ponieważ planował udać się na godzinę dziesiątą na seans do kina Muza. Obejrzał tam film, którego treść potrafił bardzo dokładnie opowiedzieć. Sprawdzono w prasowych programach kinowych – faktycznie film ten był o dziesiątej w tym kinie wyświetlany, w związku z tym Rafał znalazł się poza podejrzeniami.

Kilka dni później odbył się pogrzeb ofiary. Panował wówczas zwyczaj, że gdy zmarłą była młoda dziewczyna, to w kondukcje za trumną niesiono wtedy na poduszce wianek. Traf chciał, że z grona jej znajomych do niesienia tego wianka wybrano właśnie Rafała. W ceremonii pogrzebowej służbowo wzięli także udział policjanci zajmujący się sprawą zabójstwa. Jeden z nich, obserwując żałobników, zauważył, iż chłopak niosący wianek jest bardzo zdenerwowany. Nie były to jednak typowe objawy smutku czy rozpacz, ale raczej napięcia i niepokoju. Zwykle pewnie wzięto by je za szczególny wyraz wzruszenia w obliczu pogrzebu znajomej, gdyby... gdyby nie to, że nadal nie ustalono sprawcy i każde, nawet najmniejsze spostrzeżenie należało do końca wyjaśnić.

Jednak filmowe alibi Rafała było nie do ruszenia. I to właśnie mnie zainspirowało. Postanowiłem konsekwentnie pójść tym tropem i zbadać, czy czegoś nie przeoczono. Wysłałem więc jednego z oficerów wprost do kina Muza, aby zbadał na miejscu wszystkie możliwe detale związane z seansem, w którym miał uczestniczyć M.

Gdy wrócił, sprawa wyglądała już zupełnie inaczej. Okazało się, że

feralnego dnia kino było nieczynne i seans o godzinie dziesiątej, wbrew programowi, w ogóle się nie odbył. To całkowicie zmieniło sytuację procesową Rafała.

Zatrzymany i ponownie przesłuchany nie potrafił racjonalnie wytłumaczyć swoich kłamstw i w końcu przyznał, że tamtego dnia zaczął się na idącą na stację Kasię, zaatakował i próbował ją zgwałcić. Ponieważ walczyła, kilkoma ciosami ogłuszył ją, przeniósł przez tory i w polu rzepaku dokonał gwałtu, po czym udusił.

Sąd, uwzględniając jego młodociany wiek, skazał go na karę dwudziestu pięciu lat pozbawienia wolności.

## ZAPŁĄTANIE

Patrzę mu prosto w oczy. Znamy nawzajem swoje myśli. Wie o tym, że nie mam złudzeń co do jego winy. I wie, że nie mogę mu nic zrobić, że za chwilę będzie wolny. Nie ma żadnych skrupułów. Zrobił to, co z zimną krwią zaplanował, przekonany o słuszności swego działania.

Zabił dwóch ludzi, w tym jednego zupełnie przypadkowo – po prostu tamten znalazł się w niewłaściwym miejscu i niewłaściwym czasie. Nie przejął się tym, to był jego triumf. Patrzę na niego i czuję, jak robak wściekłości zżera mi wnętrze.

Myślę o tym, ile i jakich błędów popełniono, aby mogło mu to na razie ująć bezkarnie. Na początku niektórzy mieli złudzenia, że to wszystko tylko był wypadek, zbieg okoliczności, a nie zabójstwo. Bo tak jest łatwiej, sprawa odfajkowana, i już można o tym nie myśleć, wrócić do domu na obiad i mieć spokojne popołudnie. Jakże łatwo się temu poddać – w końcu samemu się wierzy, że tak było. I nie wiadomo, czy to jest już rutyna, głupota czy lenistwo. Powoli gdzieś kończy się chęć walki i zaczyna pragnienie odcinania kuponów od dawnych sukcesów. I czasem tylko żal, że za wcześnie.

A potem nigdy już nie przyznają się do błędu, bo przecież oni się nie mylą. Nawet gdy winny pozostaje bezkarny. Nawet gdyby potem morderca przyszedł i przyznał się do zbrodni, to powiedzą, że konfabuluje. Bo oni wiedzą, jak było, i nie będą teraz sobie samym zaprzeczać. To przecież dyshonor. Wpadają w błąd confirmacji i już nie przyjmą do wiadomości niczego, co może zburzyć tę pewność. A gdy kruszą ją jakieś działania, to po cichu je sabotują. Tłumaczą się nawałem innych zadań, albo dużo ważniejszymi i pilniejszymi sprawami. I wtedy każde, nawet drobne niepowodzenie ich cieszy, bo utwierdza w przekonaniu o własnej nieomyślności. Prawie kibicują sprawcy, wmawiając sobie, że przecież nie było żadnej zbrodni.



Tylko wypadek! A gdy jednak sprawca się przyzna, to z ich oczu wyciera wrogość. Może mu wmówiono. Przestraszył się. Kłamie. Zmyśla. Przecież to był wypadek, a reszta to pic.

Są wszędzie, schowani wśród nas, osłonięci swoimi sukcesami, które dają im szaty nieomylnych właścicieli jedynie słusznej prawdy. Słyszą już tylko to, co chcą usłyszeć. Już stracili węch, a wciąż udają, że polują. Jaka szkoda, bo często byli najlepszymi z najlepszych. Pogubili się.

Patrzę w jego oczy i myślę o motywach – zawiedziona miłość, za którą ktoś musiał zapłacić życiem. On teraz już nawet sypia spokojnie. Usunięcie rywala przywróciło mu poczucie własnej wartości. Jest pewien, że zrobił słusznie. Fakt, że wychodzi wolny jeszcze to wzmacnia.

Ale wciąż będzie czujny. Spodziewa się jakiegoś podstępu, więc będzie unikał wszystkiego, co go wiąże z tą sprawą. Także swojego chorego na serce współnika, który dostarczył mu narzędzie zbrodni. Nawet do niego się nie odezwie, bo wie, jak na to czekamy. Na każdy jego zły krok. I jeszcze przez wiele lat będzie bał się porannego dzwonka do drzwi.

Patrzę mu prosto w oczy. Myli się... My nie zawsze przychodzimy rano.

## WESELE

W małej miejscowości odbywa się wesele w lokalu o sympatycznej nazwie Uśmiech. Pan młody, jeden z trójki braci, około godziny drugiej w nocy wychodzi z imprezy, aby odpocząć, i wsiada za kierownicę swojego mercedesa stojącego na pobliskim parkingu. Po jakimś czasie wychodzi z lokalu któryś z gości i stwierdza, że nowożeńiec nadal siedzi w tym samochodzie i nie daje znaku życia. Przyjeżdża grupa operacyjno-śledcza i zaczyna oględziny. W ich rezultacie oraz w wyniku późniejszej sekcji zwłok ustalono, iż przyczyną śmierci było uduszenie czymś, co można określić jako kabel, sznurek bądź coś zbliżonego.

Nie ma żadnych śladów świadczących o walce. Brak też narzędzia zbrodni. Prowadzone są intensywne czynności – przede wszystkim przesłuchania uczestników wesela. Krąg osób podejrzewanych obejmuje jednak nie tylko ich, lecz potencjalnie każdą osobę, która wtedy przypadkowo znalazła się w pobliżu lokalu. Szukamy motywu, który powinien nas doprowadzić do sprawcy. Bez większych rezultatów... Mija czas i wpadamy w impas – praktycznie drepczemy w miejscu.

Nie mając niczego, postanawiamy więc drobiazgowo przeanalizować sytuację w najbliższej rodzinie zamordowanego. Powoli zaczyna się tam ujawniać pewien problem. Spośród trzech braci – jeden, najstarszy, ofiara zabójstwa, był przez ojca wyraźnie faworyzowany i miał wszystko – dom, samochód, pieniądze... i piękną narzeczoną, z którą właśnie brał ślub. Drugi brat był w zbliżonej sytuacji. A trzeci... wciąż pozostawał przy ojcu, był traktowany gorzej, prawie jak popychadło. To oczywiście jeszcze nie dowód jego winy w tej sprawie. Ale wreszcie jest choćby załączek motywu. A nadal nic innego nie mamy. Mijają miesiące, a wątek ten jednak nie daje się w żaden sposób pogłębić. Znowu impas. Czy

mamy się poddać i umorzyć śledztwo bez sprawdzenia tej wersji? Po długich debatach zapada decyzja, aby podjąć działania procesowe mające na celu jednoznaczne wyjaśnienie, czy najmłodszy syn ma związek z tą zbrodnią. Aby uzyskać akceptację planu czynności, używamy w nim stwierdzenia, że jest to „prawdopodobieństwo graniczące z pewnością”. Tak naprawdę nie było jednak przecież żadnej alternatywy.

Rano nagle dokonujemy zatrzymania podejrzanego i zawozimy go do komendy na przesłuchanie. W towarzystwie drugiej ekipy przyjeżdżam do miejsca zamieszkania na przeszukanie. Ojciec powiadomiony o zatrzymaniu syna jest wściekły. Staram się rozładować jego wzburzenie konsekwentnym ustępowaniem wobec stawianych przez niego żądań dotyczących warunków przeprowadzania przeszukania. Dobiera on sobie trzech świadków, którzy mają być obecni przy tej czynności. Sprawdzamy kolejne pomieszczenia. Nie spodziewamy się znaleźć narzędzia zbrodni, bo przecież nie wiemy nawet, co nim było.

Liczę bardziej na ujawnienie przez wzburzonego ojca jakichś nieznanych dotąd faktów, relacji rodzinnych, które rzucają nowe światło na naszą wersję. W pewnym momencie w jednym z pokoi znajdujemy kartony z butelkami wódki. Ojciec nagle rozkleja się – to na ślub średniego syna. Mówię do niego, aby dał dwie szklanki i został sam ze mną w pokoju. Zaczynam z nim rozmawiać, aby oswoić go z sytuacją. Pijemy niewielką ilość alkoholu. Uspokaja się.

Tymczasem mijają godziny przesłuchania zatrzymanego. Nie przyznaje się. W pewnej chwili mówi do przesłuchującego:

– Jeśli taki jest pan mądry, to niech pan powie, czym go zabiłem.

Policjant nie traci czujności i odpowiada:

– Obaj wiemy, czym to zrobiłeś, tylko ja tobie tego nie mogę pierwszy powiedzieć, bo później byś twierdził, że to policja ci wmówiła.

– Wie pan, ot tak, po prostu, witką zerwaną z krzaka.

Potem opowiedział dokładnie, jak poszedł za bratem do samochodu, usiadł za nim na tylnym siedzeniu i zaczął z nim

rozmawiać – że tamtemu się wszystko w życiu udaje, że wszystko dostał i teraz ma jeszcze piękną żonę. Że to niesprawiedliwe. A tamten wysłuchał go i odpowiedział krótko: „Spiierdalaj”. Wtedy wysiadł z samochodu, zerwał witkę z krzaka, oczyścił ją z liści, wsiadł z powrotem z tyłu, owinął ją wokół szyi brata i zacisnął tak mocno, aż ten przestał oddychać.

Potem przed sądem odwołał te wyjaśnienia, twierdząc, że wmówiła mu je policja. Sędzia, wydając wyrok skazujący go za zabójstwo, nie dał mu wiary, uzasadniając to tym, że żaden policjant nie wpadłby na to, że sprawca zbrodni mógł użyć właśnie zwykłej witki.

## ROWER

Było to w przededniu imienin Marcina. Szykowaliśmy się właśnie z żoną do wizyty u solenizanta, kiedy oficer dyżurny zawiadomił mnie o zbrodni dokonanej w małej miejscowości położonej w pobliżu miasta powiatowego. Żona zaprotestowała – nie musisz tam jechać!

– Może i nie – zgodziłem się – ale myślami i tak tam będę. Więc nic tu po mnie.

Pojechałem razem z grupą. Na miejscu ustaliliśmy, że miejscowy rolnik, Władysław Z., starszy mężczyzna, został przez syna znaleziony zakrwawiony i nieprzytomny na podwórzu otoczonym zabudowaniami gospodarczymi. Ich dom mieszkalny znajdował się około stu metrów dalej, po drugiej stronie szosy. Miejscowi policjanci od początku przyjęli, iż zabójcą mógł być właśnie syn, z uwagi na liczne plamy krwi na jego odzieży. Został więc przez nich od razu zatrzymany i osadzony w areszcie.

Chcę jednak poznać też jego wersję i siadam z nim do rozmowy. Opowiada, że byli razem w domu i w pewnej chwili dobiegło ich gwałtowne ujadanie psów znajdujących się w zabudowaniach gospodarczych. Ojciec zerwał się i wyszedł zobaczyć, co się tam dzieje. Gdy długo nie wracał, to także on poszedł tam sprawdzić, czy nie powinien mu w czymś pomóc. Na miejscu natknął się na ojca nieprzytomnego, leżącego na podwórzu w kałuży krwi. Nie wiedząc, jak mu pomóc, wziął go na ręce i przeniósł z powrotem do domu. Wezwane natychmiast pogotowie stwierdziło jednak zgon.

Zeznania żony zmarłego w pełni potwierdziły wersję przedstawioną przez syna. Nie było podstaw do tego, by dłużej go zatrzymywać. Szukając dalej sprawcy, należało najpierw znaleźć motyw jego działania. Władysław nie był człowiekiem konfliktowym, dobrze żył z sąsiadami i nikt mu się w żaden sposób nie odgrażał. Analizując

dane o przebiegu zdarzenia, przyjmujemy zatem wersję, iż na terenie zabudowań gospodarczych nieoczekiwanie natknął się na kogoś, kto dokonywał tam kradzieży. Wtedy pewnie doszło do walki, podczas której doznał śmiertelnych obrażeń.

Sekcja zwłok ofiary wykazała wieloodłamowe złamanie kości twarzy, które spowodowało gwałtowny krwotok i w konsekwencji zadławienie krwią, co stało się ostateczną przyczyną zgonu. A więc musiał być przez napastnika silnie uderzony w głowę nieustalonym, twardym przedmiotem.

Następnego dnia, z samego rana, sprawdzając wersję kradzieży, jedziemy wraz z żoną zmarłego do ich zabudowań gospodarczych. Są tam między innymi kurnik i obora. Licząc kury, gospodyni stwierdza brak dwóch sztuk, w tym jednej charakterystycznej, bo czarnej. Czyżby więc zabójcą był złodziej kur? Miejscowi policjanci potwierdzają, że w ostatnim okresie nasiliły się na tym terenie kradzieże drobiu. Brakuje jednak danych o osobach, które mogły ich dokonywać. Czujemy się trochę bezradni.

Tymczasem dowiadujemy się, że feralnego wieczoru widziano motocyklistę, który w towarzystwie pasażera jeździł po okolicy. Znany był kolor i marka motoru, więc szybko ustalamy jego właściciela. Ściągnięty na przesłuchanie potwierdza, iż faktycznie w towarzystwie swojego kuzyna odwiedził tego dnia wujka. Sprawdzamy, wszystko się potwierdza.

Dzień później żona zmarłego informuje nas, że stan kur się już zgadza. Ba, odnalazła się także ta czarna, której przecież trudno było nie zauważyć. Nie wiemy, jak to oceniać. Czy oznacza to upadek, czy też może właśnie potwierdzenie wersji ich kradzieży jako przyczyny zbrodni. Nie ma jednak żadnej nowej koncepcji. Pozostaje nam postawić jeszcze na rozpoznanie prowadzone wśród mieszkańców przez dzielnicowych z miejscowej jednostki.

Wysłuchuję ich relacji, ale nie wnoszą nic nowego. Praktycznie nie ma już żadnego tropu. Kolejny raz czytam te notatki, protokoły, usiłując znaleźć jakikolwiek punkt zaczepienia, żeby wychwycić coś, co może zostało przeoczone. Analizując każdy detal w jednej z nich

wynajduję rozmowę, jaką policjant przeprowadził ze sprzątaczką zatrudnioną w urzędzie powiatowym. Feralnego dnia późnym wieczorem wracała ona z pracy, jadąc rowerem do domu. Mieszkała właśnie w miejscowości, w której dokonano zabójstwa. W pewnej chwili w ciemnościach mijają ją mężczyźni jadący rowerem w przeciwnym kierunku. Nie widziała go dobrze, ale zapamiętała, iż jego rower wydawał charakterystyczny zgrzyt wskazujący na „przeskakiwanie” trybów łańcucha.

To właściwie nic nie znaczy. Ktoś po prostu sobie jechał uszkodzonym rowerem. Większość okolicznych mieszkańców jeździ rowerami i pewnie niejednym z nich zgrzyta.

Ale przecież nic nie mamy... I w tej sytuacji musimy chwytać się wszystkiego, co daje choćby najmniejszą szansę na postęp. Trzeba więc sprawdzić, kto to był i co o tej porze robił na tym terenie. W dużym mieście nie mielibyśmy szans. Tu jednak jest niewielu mieszkańców, którzy prawie wszyscy się znają.

To znów robota dla dzielnicowych. Rozmawiamy z ludźmi, to małe środowisko, więc dowiadują się, kto jeździ takim rowerem. Dość szybko ustalamy, że jest to Wiesław K., zatrudniony w miejscowej cegielni. Dalsze sprawdzenia wykazują, że spędził on już kilka lat w więzieniu, karany za rozbój i kradzieże. Pojawia się więc jakaś szansa, aczkolwiek to wcale nie znaczy, że właśnie jego szukamy.

Decydujemy jednak, aby w tym momencie potraktować go jako podejrzanego, a więc zatrzymać, przesłuchać i przeprowadzić przeszukanie w jego miejscu zamieszkania w nadziei na odnalezienie zakrwawionej odzieży. Zdajemy sobie sprawę, że szanse powodzenia są nikłe, lecz nie możemy z tego powodu rezygnować.

Gdy przedstawiam nasze plany prokuratorowi, ten nie ma złudzeń. Wiesław K. był już przez niego wielokrotnie przesłuchiwany w różnych sprawach i nigdy się nie przyznawał do niczego pomimo twardych dowodów jego winy.

– Jeśli nic nie znajdziecie, to będzie tylko strata czasu – powtarza.

Następnego dnia formujemy dwie grupy – jedna jedzie na przeszukanie do jego domu, a druga wprost do cegielni, aby go tam

zatrzymać i sprawdzić, co przechowuje w szafce pracowniczej.

Jestem w pokoju kierownika cegielni. Wchodzi wezwany tam Wiesław. Bez żadnych wstępów pytam go, gdzie ma rower. Przechodzimy od razu do tego pomieszczenia – faktycznie stoi. Wtedy jednemu z towarzyszących mi policjantów mówię: „Przejedź się nim kawałek”.

Ten wsiada, przejeżdża kilka metrów i rozlega się charakterystyczny zgrzyt przeskakujących trybów. W tym momencie beznamiętnie zwracam się do Wiesława:

– Jest pan zatrzymany pod zarzutem zabójstwa.

Chwila ciszy. Stoi spokojnie i nie protestuje. Nie oburza się. Nic nie mówi.

– Skuć go z rękoma do tyłu, to zabójca – polecam policjantom. Zabieramy go do komendy wraz z rowerem. Przez całą drogę nadal milczy.

Rozpoczynam przesłuchanie, ostro blefując.

– Człowieku, czy za kurę musiałeś zabić?

– Ja tego wcale nie chciałem – wyrzywa mu się jakby odruchowo.

A potem wyrzuca już z siebie wszystko. Faktycznie pojechał ukraść kury. Psy zaczęły wściekle ujadać. Nie przejmował się tym, bo były uwiązane, a wiedział, że w zabudowaniach nikt nie mieszka. Nagle pojawił się jednak starszy mężczyzna i doszło między nimi do szarpaniny. Aby się od niego oderwać, chwycił swój nóż i jego rękojęścią silnie uderzył tamtego w głowę. Gospodarz upadł zalany krwią i nie podnosił się. Wtedy Wiesław zabrał dwie kury, wsiadł na rower i pojechał do domu. Myślał, że pobity za chwilę się ocknie i wstanie. Następnego dnia, gdy dowiedział się o jego śmierci, postanowił oddać skradzione kury i wieczorem odwiózł je na miejsce do kurnika.

Ostatecznie sąd nie dopatrzył się zamiaru zabójstwa i skazał go za pobicie ze skutkiem śmiertelnym.



## MOTTO

Czasem myślami wracam do bardzo głośnej w latach osiemdziesiątych sprawy włamania do katedry znajdującej się w dużym mieście powiatowym. Jej szczegóły bieżąco opisywano w prasie, omawiano w mediach i wspominano potem w wydawnictwach książkowych. Czas spędzony na prowadzeniu tego śledztwa stanowił dla mnie niezwykle bogate doświadczenie profesjonalne, ale zarazem dostarczył też niezapomnianych wrażeń związanych z okolicznościami towarzyszącymi podejmowanym przedsięwzięciom, w tym szczególnie z bieżącymi kontaktami i współpracą z przedstawicielami duchowieństwa. Relacje pomiędzy państwem a Kościołem były bowiem wówczas jeszcze szczególnie delikatne, przy równocześnie dość ograniczonym poziomie wzajemnego zaufania.

Sprawcy włamania, wykorzystując rynnę, doszli do wysokości okna katedry, po czym wygięli jeden z prętów zabezpieczającej go kraty, wypchnęli okno i dostali się do bocznej kaplicy, a stamtąd po rusztowaniu przeszli do nawy głównej. Celem ich był sarkofag świętego, z którego zabrali jego figurę oraz elementy dekoracyjne – anioły i orły odlane ze srebra. Wartość skradzionych przedmiotów była niezwykle trudna do oceny z uwagi na ich wielkie znaczenie historyczne, sakralne i kulturowe.

Oględziny miejsca włamania, a praktycznie całej katedry, bo wszędzie mogły zostać ślady sprawców, prowadziliśmy nieprzerwanie przez czterdzieści osiem godzin, przy zmieniającym się składzie osób pracujących. W pewnym momencie ich przedmiotem stał się zdewastowany sarkofag, z którego włamywacze zdjęli rzeźbę przedstawiającą figurę świętego. Pojawił się tam problem związany z wydobyciem z niego śrub przeciętych przy kradzieży. Wpadły one bowiem do wnętrza sarkofagu, a księża

obecni przy tej czynności stwierdzili, że znajdują się tam także relikwie świętego. My, patrząc z profesjonalnego punktu widzenia, musieliśmy zabezpieczyć wszystkie możliwe ślady, dlatego poprosiliśmy księży, aby zastanowili się, w jaki sposób śruby te stamtąd wydobyć, nie urażając przy tym uczuć religijnych i nie naruszając świętości relikwii. Ostatecznie, aby temu stało się zadość, odstąpiliśmy od oględzin wnętrza sarkofagu, a księża sami te śruby wydobyli i po dwudziestu minutach nam je przekazali. Nikt tego nie kwestionował, bo od początku było między nami niepisane porozumienie, aby szczególnie uszanować to miejsce.

Przez cały czas pracy nad sprawą czuliśmy, że przedstawiciele kleru przyglądają nam się bardzo uważnie. Sprawdzają, jacy jesteśmy, czy potrafimy się w tym niezwykłym miejscu odpowiednio zachować, uznawać pewne przyjęte tam zwyczaje i tajemnice, które są dla niego charakterystyczne. Nie odnosiliśmy jednak wrażenia, że są do nas nastawieni negatywnie. Obserwowali jednak, czy zajmujemy się tylko oględzinami, zbieraniem śladów, czy może interesują nas też inne sprawy.

Mnie przypadło w udziale zadanie przesłuchania księdza proboszcza jako przedstawiciela Kościoła. Był to starszy człowiek o wielkiej wiedzy i kulturze osobistej. Wnętrze jego siedziby było niezwykle interesujące – półki, sięgające od podłogi do sufitu, pełne były książek, które stwarzały charakterystyczny klimat tego miejsca i jego historii. Dużo opowiadał mi o sarkofagu, jego wartości sakralnej i kulturowej.

Byłem nastawiony na bardzo szczegółowe przesłuchanie i zdawałem sobie sprawę, że mam do czynienia z człowiekiem, który przerastał mnie o kilka poziomów wiedzą na temat sarkofagu i wszystkiego, co jest z tym miejscem związane. Starłem się więc wyselekcjonować najważniejsze informacje, a z drugiej strony nie skompromitować się niewiedzą o tym, co mi opowiadał. W pewnym momencie rozmowy, gdy piliśmy już drugą czy trzecią kawę i wytworzyła się między nami nić wzajemnej sympatii, powiedział mi coś takiego, co pozostało mi w pamięci na wiele lat.

– My się z panem różnimy tylko tym, że ja mam mundur koloru czarnego zapinany na trzydzieści trzy guziki, a pan, choć dzisiaj jest po cywilnemu, to na pewno ma mundur koloru stalowoniebieskiego zapinany na cztery guziki. Ja jestem w służbie Kościoła, a pan w służbie państwa. Ale najważniejsze, żebyśmy obydwaj, każdy w swojej służbie, zawsze byli porządnymi, dobrymi ludźmi.

Dopiero kiedy po kilku dniach wróciłem myślami do tej rozmowy, stało się dla mnie oczywiste to, co mi chciał w ten sposób przekazać. Od tego czasu czułem pewną więź pomiędzy nami a księżmi, która objawiała się między innymi tym, że ilekroć chcieliśmy jeszcze coś sprawdzić w katedrze, to udostępniano nam wszelkie możliwe pomieszczenia, nawet takie, do których nikt tam dawno nie zaglądał. Najczęściej towarzyszył nam osobiście ksiądz proboszcz. Starłem się dotrzeć do każdego zakątka świątyni, bowiem wciąż prześladowała mnie obawa, że sprawcy nie zdołali jednak wynieść z wnętrza skradzionej figury i ukryli ją w jakimś zakamarku.

Mniej więcej po tygodniu intensywnego prowadzenia śledztwa, dzięki zaangażowaniu policjantów z Gdańska, znaleziono tam i zabezpieczono srebro pochodzące z przetopienia skradzionych z katedry niektórych ozdób sarkofagu. Przewożąc je do komendy, odwiedziliśmy wieczorem księdza proboszcza, aby pokazać mu odzyskane przedmioty. Przyjął nas niezwykle serdecznie, ze wzruszeniem je obejrzał i na koniec zaproponował, abyśmy któregoś dnia przyjechali obejrzeć skarbiec katedry, który był wówczas zamknięty dla zwiedzających. Trudno było się oprzeć takiej okazji, bo znajdowały się tam przedmioty związane z historią Polski i Kościoła, które publicznie nie były eksponowane.

Wybraliśmy się więc tam w najbliższą sobotę zupełnie prywatnie i na luzie. Ksiądz proboszcz osobiście nas oprowadzał, opowiadając bardzo ciekawe historie o pokazywanych zabytkach.

Śledztwo toczyło się szybko i efektywnie. Włamywacze zostali po kilku dniach zatrzymani i przyznali się do winy. Częściowo sprawdziło się też moje przeczucie, bo na skraju dziedzińca katedry znaleziono zakopaną tam skradzioną figurę świętego.

Tuż przed przeprowadzeniem wizji lokalnej potrzebowaliśmy jednak imitacji narzędzi, łomu i siekiery, przy pomocy których sprawcy mieli odtworzyć przebieg włamania. Wtedy z pomocą znowu przyszedł ksiądz proboszcz.

– Nie martwcie się, nasi ludzie wam to przygotowują.

I faktycznie, jeszcze przed wizją otrzymaliśmy te narzędzia wykonane z drewna. Aby zapewnić spokój i porządek podczas jej przeprowadzania, cały rejon przylegający do katedry odgrodzono szeregami złożonym z naprzemian stojących umundurowanych funkcjonariuszy i alumnów w sutannach.

Gdy wspominam tamte chwile intensywnej pracy i obustronnie niezwykle życzliwego współdziałania, zawsze przychodzi mi na myśl motto, jakie odczytałem z pamiętnej wypowiedzi księdza proboszcza: „Nieważne, skąd przychodzisz i kim jesteś, ważne, jaki jesteś”.

## EPILOG

– O jakim Wydziale jest mowa w tych opowiadaniach?

– Są to wspomnienia policjantów jednego z wydziałów komendy wojewódzkiej policji. Nie spisano ich jednak po to, aby promować bądź upamiętniać tę czy inną jednostkę policyjną. Ci, którzy znają ten Wydział, i tak z łatwością skojarzą z nim opisane sprawy. Chcemy po prostu pokazać pracę policyjną bez efekciarstwa i ozdobników typowych dla utworów literackich czy produkcji filmowych. Tam często policjant przedstawiany jest sztampowo jako twardy jak skała, zimny, pozbawiony emocji, precyzyjnie działający superglina bądź alkoholik z rozbitym życiem rodzinnym. A nam chodzi o obraz samej pracy, sukcesów i porażek, autentycznych tragedii i dramatów, ale także radości i śmieszności. Jak to w życiu. Dlatego nie są one osadzone w konkretnym miejscu i czasie, a imiona i inicjały osób zostały zmienione.

– **Czy tytuł jest więc tylko organizacyjną klamrą spinającą poszczególne opowieści?**

– Nie, wspólna praca, często z towarzyszącym jej wysokim poziomem adrenaliny i stresem, jakoś samorzutnie łączy ludzi, tworzy z nich zespół. I choć, jak to zawsze w grupie, jedni lubią się bardziej, inni mniej, to wytwarza się więź, którą trudno rozerwać. I nadal owa istnieje. Niejednokrotnie pracowaliśmy razem do późnej nocy i czas się wtedy nie liczył, tylko efekt tego, co robimy. Czasami coś z tego wynikało, posuwaliśmy się w sprawie krok do przodu, a czasami nic. Czas płynął, trzeba było działać. Ktoś, kto wtedy preferował należyty mu wypoczynek i stałe godziny pracy, po prostu do nas nie pasował i stopniowo sam wykluczał się z zespołu. Powinniśmy więc mieć siebie dosyć, a jednak już poza pracą, w wolnych chwilach, często znajdowaliśmy trochę czasu na nieformalne spotkania. I tak zostało do dzisiaj – nadal spotykamy się

i tworzymy zgraną grupę.

– **Prywatnie spotykacie się w gronie rodzinnym, z żonami?**

– Nie, tylko koleżeńskim. Znamy się dobrze i mamy wspólne przeżycia, tematy. Żony by się wtedy z nami nudziły.

– **O czym rozmawiacie na tych spotkaniach, jak się bawicie?**

– O wszystkim. O bieżących wydarzeniach, sporcie, kulturze, policji, prawie, rozrywkach i o nas samych. Często wspominamy też o sprawach profesjonalnych, bardziej czy mniej istotnych, a czasem śmiesznych sytuacjach, które gdzieś wewnątrz nas wciąż siedzą i nie dają o sobie zapomnieć. Czasami spieramy się jeszcze raz o słuszność różnych kontrowersyjnych decyzji podejmowanych kiedyś w trakcie prowadzonych śledztw. Stąd też wziął się pomysł, aby niektóre z nich opisać i w ten sposób jakoś zachować.

– **Czy opisane sukcesy to wyłącznie zasługa Waszego Wydziału?**

– Sprawy te były prowadzone przez nasz Wydział, ale w wielu przypadkach znaczący wkład w ich wyniki miały również współdziałające z nami wydziały: kryminalny i kryminalistyki. Pisząc o tym, co robiliśmy, mamy więc na myśli również ich pracę, bo nie da się jej oddzielić, a jej efekty są nie do przecenienia.

– **Ale niektóre wspomnienia mają też gorzki wydźwięk...**

– To przestroga, że czasem najlepsi przegrywają z rutyną, zbyt wielkim, bo opartym na wielu sukcesach, przekonaniem o swojej nieomyślności. To przeradza się w próżność, a ta z kolei w odporność na argumenty. Przestają być kreatywni i stają się tylko pomnikami własnych dokonań. Szkoda. A to grozi każdemu. Wtedy przegrywamy.

– **Mało jednak piszecie o porażkach.**

– Bo zdarzały się sporadycznie. Wydział zajmował się najpoważniejszymi przestępstwami, sprawom poświęcano dużo czasu i pracy, więc w efekcie przygniatająca większość kończyła się aktami oskarżenia. Ale dlatego też rzadkie przegrane szczególnie wbijały się w pamięć i mocniej bolały.

– **Czyli są jednak zbrodnie doskonałe?**

– Nie ma. Lecz niektóre stają się nimi albo wskutek

niespodziewanego zaistnienia pomyslnych dla sprawców okoliczności, albo z powodu naszych błędów w pracy wykrywczej, bo one zawsze mogą się przydarzyć. Aby zminimalizować ten margines, zwykle konsultowaliśmy ze sobą kluczowe decyzje w większym gronie osób zaangażowanych w daną sprawę. Były kontrowersje, nieraz emocje, ostre spory, mocne słowa. Po to, żeby iść szybciej, racjonalniej, skuteczniej... To nie zawsze jednak wystarczało. Sytuacje decydujące o wyniku śledztwa pojawiały się nieraz nagle i trwały tylko chwilę albo kilka bądź kilkanaście minut. Potem szansa się zamykała, i to często bezpowrotnie. Wówczas o sukcesie decydowała mieszanka wiedzy, doświadczenia i intuicji policjanta, który natychmiast musiał podjąć decyzję o tym, co ma robić, i od razu przystępować do jej realizacji. Niemalże znaczenie miała przy tym umiejętność nawiązywania kontaktu z ludźmi, wzbudzania zaufania, odczytywania nastrojów, intencji, emocji i kreowania zachowań wpływających na ich reakcje. Jedni z nas potrafili to lepiej, inni gorzej. Wiele zależało tu od osobowości i psychologicznych predyspozycji każdego z nas.

Niezwykle ważna jest też umiejętność przewidywania rozwoju wydarzeń i tym samym zapobiegania takim, które działają na naszą niekorzyść. Trzeba dostrzegać nie tylko jutro, ale i pojutrze. Niestety, czasem niepotrzebny pośpiech, a czasem zwykłe lenistwo powodują, że rezygnuje się ze zrobienia czegoś, co wydaje się już niepotrzebne, bo przecież wszystko już wiemy.

I wtedy sprawa nie zostaje dopięta „na ostatni guzik”, co znajduje później swój wyraz na sali sądowej.

Nie wolno nam bowiem dopuścić do sytuacji, aby obrońca stojącego już przed sądem sprawcy zbrodni, znajdował luki w zgromadzonym materiale dowodowym. To na szczęście zdarza się niezwykle rzadko, ale boli bardziej niż te sprawy, które pozostają niewykryte. Wiemy, że gdzieś w duchu sprawca śmieje nam się w twarz. I to tylko przez brak naszej staranności i zdolności przewidywania.

A zbrodnie doskonale zaplanowane często sypią się jak domek

z kart, bo albo coś w tych planach przeoczono, albo zaistniały nieprzewidziane okoliczności. Dlatego trudniejsze do wykrycia są często zabójstwa przypadkowe, spontaniczne, bez jasnych motywów. Tu jednak z pomocą przychodzą nowoczesne techniki identyfikacji i wykorzystania śladów. Bo zostają one nawet tam, gdzie, wydaje się, że ich nie ma.

Jest takie policyjne powiedzenie: „Nie myśl o tym, czego szukasz, ale o tym, co znajdujesz”.

– **W relacjach pojawiają się też akcenty samokrytyczne.**

– Jak już mówiłem, to nie ma być laurka na naszą cześć, tylko szkic mówiący o naszej pracy. Pracy ludzi, którzy nie są wolni od emocji, ambicji, uprzedzeń i wad. I czasami te ludzkie niedoskonałości mają niestety wpływ na efekty ich pracy. W każdym zespole są jakieś zgrzyty. Tak jest wszędzie, w każdej grupie zawodowej, więc także i w naszej. Świadomość tego jest naszą siłą.

– **Dlaczego opisujecie głównie sprawy dotyczące zabójstw lub innych poważnych przestępstw?**

– Takie właśnie sprawy prowadzono w naszym Wydziale, więc trudno pisać o innych. Na ich tle zresztą szczególnie wyraźnie widać wymiar i smak zarówno sukcesów, jak i niepowodzeń. Gdybyśmy zajmowali się na przykład włamaniami do piwnic, trudniej byłoby ten smak wydobyć, choć z pewnością też byśmy go czuli. My tak... Ale czytelnicy naszych relacji już nie.

– **Kiedy policjanta służby kryminalnej możemy uznać za profesjonalistę?**

– Pod to pojęcie różni ludzie subiektywnie podkładają różne cechy. A z tym jest tak jak z prowadzeniem samochodu – wiedza teoretyczna i przeszkolenie wystarczają wprowadzić do opanowania umiejętności poruszania się pojazdem, ale o tym, kto jakim będzie kierowcą, decydują jego osobowość i predyspozycje oraz ambicja ciągłego doskonalenia. To trochę trzeba mieć w sobie. Jeśli nie, to w pewnym momencie warto też samemu się zapytać: „Czy to jest to, o co mi chodziło? Może bardziej odpowiada mi prewencja czy logistyka”.



– **Ale młodzi policjanci nie zaczynają pracy w służbie kryminalnej od badania zbrodni...**

– To oczywiste, bo przecież muszą się najpierw nauczyć zwalczania przestępczości pospolitej – kradzieży, drobnych włamań, oszustw i tak dalej.

Na tym bowiem etapie kariery zawodowej okazuje się dopiero, kto ma predyspozycje do prowadzenia spraw najtrudniejszych i takich ludzi wyszukuje się do jednostek wyższego szczebla. Jeżeli ktoś, prowadząc masę męczących drobnych spraw, na przykład o kradzieże, włamania do piwnic czy altan, nie rezygnuje z przeprowadzania w nich czynności, które mogą, choć wcale nie muszą, doprowadzić w niektórych przypadkach do wykrycia sprawcy, nie poddaje się, robi to solidnie, nie żałuje sił i czasu, to właśnie takie predyspozycje wykazuje. Na to musi nakładać się dobra organizacja własnej pracy, żeby się w tym nie pogubić. Wtedy stopniowo przychodzą wyniki i opinia dobrego gliny. Takie są pierwsze kroki. Ale nie wszystkim się chce, bo to zwykle wiele kosztuje.

– **O jakich kosztach tu mowa?**

– Traci się sporo czasu przeznaczanego zwykle na życie prywatne i to niestety odbija się na jego jakości. Coś za coś. Nie ma łatwych recept. Łatwa jest tylko bylejakość. Ale za nią też się czymś płaci. Choćby właśnie opinią albo karierą zawodową. Trzeba wiedzieć, czego chce się od życia. Co się wybiera.

– **A czy wielu z Waszego Wydziału miało z powodu pracy problemy w życiu osobistym?**

– Wbrew obiegowym opiniom nie, aczkolwiek fama głosi, że ludziom pracującym w tym zawodzie zdarzają się one ponoć częściej niż zwykle.

– **A więc warto było?**

– Dla nas tak. Ale to nie jest praca dla każdego.

Książkę oparto na relacjach oficerów Wydziału:

**STANISŁAWA MROZA,  
JERZEGO JAKUBOWSKIEGO,  
MICHAŁA CZECHANOWSKIEGO,  
MARIANA KOZŁOWSKIEGO,  
MARIANA LIPIŃSKIEGO,  
ROMANA PRZYBYŁA,  
BOGDANA SKRZEKUTA,  
MIŁOSŁAWA CZARNECKIEGO.**